Wojewódzka biblioteka publiczna

kamena

LUBLIN 20 I 1980 NR 2 (696) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 3 ZŁ

W ankiecie „Kameny" wypowiada się prof. dr Jerzy Topolski

str. 6

Rys. Jacek Urbański

Henryk Makarski

WIELKI DRAMAT NIEWIELKIEGO POETY

str. 8–9

NAUCZYCIEL UCZEŃ PARTNERSTWO

W Lublinie powstaje placówka dotychczas nie spotykana w całym kraju: szkolny dom kultury. Wyremontowano w tym celu obszerny budynek — zabytek, pozostałość z XVII w., w którym znajdą miejsce wielofunkcyjne pracownie, galeria plastyki, muzeum szkoły, biblioteka szkolna itd. Nazwa placówki, stworzona przez inicjatorów, nie znalazła odpowiednika w obowiązującej nomenklaturze statutu szkolnych placówek kulturalnych. Toteż formalnie Szkolny Dom Kultury nie istnieje, ale rzeczywistość przekroczyła granice administracyjnych ustaleń. Dyrektorem placówki jest Stanisław Kieroński, który wraz z kadrą pedagogów i działaczy realizuje nowatorską ideę pracy kulturalnej w szkole, z jaką kilka lat temu wystąpiła nasza rozmówczyni, dyrektorka Zespołu Szkół Ekonomicznych im. A. i J. Vetterów. Maria Berzyńska.

— Chciałbym z Panią pomówić o motywacjach, które kierowały Panią i całym zespołem przy tworzeniu szkolnego domu kultury. Bo można pomyśleć, że robicie sobie pomnik na zasadzie: „wymyślmy coś takiego, czego dotąd nie było". Czy to nie jest pionierskość na siłę, bo przecież działalnością kulturalną może poszczycić się wiele szkół? Czy trzeba było aż takiego „cudu" i przekraczania ram ustalonych przepisami?

— O cudach mowy być nie może. Pionierskość — na pewno, lecz to nie jest najistotniejsze. Mam

Dokończenie na str. 4—5

Maria Berzyńska

Fot. W. Stępień

Fot. W. Stępień

MOTORYZACJA I USŁUGI

Z jakiego konia nie chce spaść kierownik?

Maciej Podgórski

DWUDZIESTEGO siódmego grudnia radio lubelskie ogłosiło w porannej audycji dla kierowców, iż otwarto w Lublinie nową stację obsługi samochodów. Otóż — nieprawda. Stacja zostanie oficjalnie otwarta pod koniec stycznia, być może. Ze względu wszak na rozliczenia bankowe jakieś samochody bywały sporadycznie reperowane w stacji już z końcem grudnia. I tylko tyle.

Termin uruchomienia stacji przesuwano kilka razy i należy się publiczności nieco wyjaśnień, a szczególnie klientom, którzy, zachęceni informacją radiową, 27 grudnia przybywali gęsto pod bramę obiektu i odjeżdżali z niczym.

Normalnie taką stację oddaje wykonawca z kompletnym wyposażeniem technicznym. Tutaj było inaczej — o wyposażenie musiał starać się użytkownik, czyli inwestor. I dlatego na przykład w sali napraw mechanicznych nie ma kompletu podnośników, a w lakierni pieca.

Podnośniki, które zdołano zdobyć i zamontować, są dobre. Przeważnie dwukolumnowe, umożliwiające pełny dostęp do spodu wozu. Ale trudno je było uzyskać, choć — jak głoszą tabliczki — wyprodukowane zostały w Polsce. Za tonę podnośnika producent żądał załatwienia tony lakieru nitro. A potem cały sznureczek: za lakier nitro — opony do autobusów, za opony do autobusów — opony do samocho-

Dokończenie na str. 5

z notatnika

Marek Adam Jaworski

1 I. Nowy Rok... Można spokojnie przejść ulicami, z domu nie trzeba wydostawać się przy pomocy łopaty, jak to było przed 12 miesiącami...

W redakcyjnej poczcie wiele życzeń noworocznych. Ładny to obyczaj, ale obawiam się, chwilami zbyt kosztowny. X przysłał mi życzenia na pięknym papierze i w kilku językach. Ale X się przynajmniej odręcznie podpisał. Inaczej postąpił Y. Wydrukował życzenia i umieścił pod nimi własne imię i nazwisko. Nie splamił się wzięciem do ręki długopisu. Najwidoczniej polecił sekretarce, aby życzenia tym i tamtym wysłała. Takimi dowodami pamięci zachwycony nie jestem. Z kolei Z przesłał życzenia listem poleconym. Nie sądzę, aby za własne pieniądze, bo u góry koperty jest pieczątka instytucji. Ile wysłał takich życzeń? Ile to kosztowało?

Poprzedni główny szef instytucji, w której pracuję, wydał przed kilkoma laty zarządzenie, że życzenia na koszt firmy można wysyłać tylko do przyjaciół pisma za granicą. Ponieważ lubelski szef owo zarządzenie w tym roku mi przypomniał, nie naraziłem redakcji na żadne noworoczne wydatki, ograniczając się do życzeń złożonych na łamach wszystkim czytelnikom i współpracownikom pisma. Sądzę, że czytelnikami są również wspomniani wyżej X, Y, Z. Uważam więc, że jestem w porządku. A swoją drogą wolałbym w przyszłym Nowym Roku przeczytać, chociażby w „Kamenie", że takie to a takie instytucje zamiast wysyłać życzenia przeznaczyły takie to a takie kwoty na szlachetny cel, np. na budowę Centrum Zdrowia Dziecka. W skali kraju zebrałaby się niezła sumka, a listonoszki też miałyby mniej ciężarów do dźwigania. I w ogóle zaoszczędziłoby się wiele pracy.

3 I. Wojewoda zamojski Stanisław Juraszek i sekretarz KW Barbara Lecyk spotykają się z grupą dziennikarzy i naukowców lubelskich przy tradycyjnej lampce wina. Podziękowanie za „już" i prośba o „jeszcze" w jubileuszowym roku miasta jak najbardziej na czasie. Sympatyczne są te objawy pamięci, na które notabene zdobyły się w naszym regionie tylko Zamość i Biała Podlaska. Ale pod latarnią bywa zwykle najciemniej. W Lublinie są zresztą inne okazje do spotykania się... „Aluzju poniał" — jak mawiają sąsiedzi.

6 I. Państwowy Teatr im. Juliusza Osterwy występuje z kolejną premierą — tym razem „Pastorałki" Schillera w reżyserii i inscenizacji Barbary Fijewskiej. Notuję to z kronikarskiego obowiązku: Maria Bechczyc-Rudnicka wróci z odpoczynku w Oborach do Lublina przed rocznicą swych 92-ich urodzin i zrecenzuje zapewne spektakl na łamach „Kameny". W każdym razie na deskach scenicznych występuje prawie cały zespół i nawet epizodyczne role są obsadzone przez najlepsze siły teatralne. Wygląda to aż na rozrzutność! Tego ostatniego zdania nie ma — dyrekcja teatru nie lubi uwag.

8 I. Po wojewódzkich konferencjach sprawozdawczo-wyborczych PZPR w Lublinie i w Zamościu — konferencja w Białej Podlaskiej. W pokoiku, przeznaczonym dla obsługi prasowej, kilkunastoosobowa grupa dziennikarzy. Z „Trybuny Ludu" przyjechał Franek Lewicki; dawno go nie widziałem, jest okazja do rozmów kuluarowych. Wojtek Podolecki, redaktor naczelny niedawno powstałego tygodnika „Słowo Podlasia", jeszcze jest niespokojny, nie wie, czy jego pismo, rano drukowane w Lublinie, dotrze na czas i trafi do rąk delegatów. Ale oto jest już Andrzej Kwiatkowski, zastępca Wojtka, z pismem pachnącym jeszcze świeżą farbą drukarską. Z westchnieniem ulgi naczelny musi jednak chwilę zaczekać: trzeba rzucić okiem na egzemplarz. No, może być, chociaż nigdy nie ma tak dobrze, by nie mogło być lepiej...

Staszek Nowak, zastępca kierownika Wydziału Pracy Ideowo-Wychowawczej KW, pełni honory domu, stara się usilnie, by dziennikarzom zapewnić pełną informację, troszczy się również o ich dobre samopoczucie.

Działa telewizja przemysłowa: na monitorze widać to, co się dzieje w sali obrad. Głośniki nie chrypią — strona organizacyjna przygotowana na medal. Ale to nie jest znów dziedzina, za którą zwykło się te medale dawać...

Referat wprowadzający do dyskusji wygłasza I sekretarz KW, Ryszard Socha. Podkreśla, że w okresie ostatnich czterech lat produkcja przemysłowa województwa wzrosła o ponad 53 proc. Rozwinęło się budownictwo mieszkaniowe: w latach 1976—1979 wybudowano łącznie ponad 8100 mieszkań, powiększając o jedną czwartą zasoby mieszkaniowe miast z 1975 r. Osiem gmin otrzymało nowe ośrodki zdrowia, a Międzyrzec Podlaski — przychodnię obwodową. Przybyło ponad 230 km nowych dróg, poważną część istniejących — zmodernizowano i ulepszono. W rolnictwie — mimo niezbyt sprzyjających warunków atmosferycznych — też są osiągnięcia. Produkcja globalna wzrosła o 34 proc. W województwie działa ok. 2750 gospodarstw specjalistycznych. Wieś otrzymuje obecnie ponad dwukrotnie więcej ciągników i wiązałek, trzykrotnie więcej kombajnów zbożowych i ziemniaczanych niż cztery lata temu.

Osiągnięcia nie mogą jednak przesłaniać braków. Nie najlepiej wygląda obniżka kosztów własnych produkcji, niepokojąco przedstawia się problem absencji: w 1979 r. w przemyśle nie pracowało dziennie (poza urlopami wypoczynkowymi) średnio 9,09 proc. załóg. Mimo wzrostu budownictwa nie udało się zaspokoić w pełni potrzeb mieszkaniowych; nadzieje wiąże się z powstającą fabryką domów. Wyjątkowo duże są zaniedbania w tzw. budownictwie towarzyszącym. Transport cierpi na brak części zamiennych, ogumienia, znikome są dostawy nowego taboru. Lepiej jest na kolei: zelektryfikowano już odcinek z Łukowa do Białej, obecnie elektryfikuje się linię Biała — Terespol.

Szereg niedomagań występuje w zaopatrzeniu ludności. Sieć handlowa Białej, dawnego miasta powiatowego, szczupła i niefunkcjonalna. Jaskółką zmian jest oddany ostatnio do użytku dom towarowy „Centrum".

I sekretarz KW przedstawia zadania, jakie należy podjąć w najbliższym czasie. W produkcji roślinnej trzeba powiększyć areał i plony zbóż, a także ziemniaków i pasz. W porównaniu do 1977 r. pogłowie trzody chlewnej wzrosło wprawdzie o 4,5 proc., ale o ponad 10 proc. zmniejszyła się liczba macior. Nie wykorzystuje się w pełni znacznych ilości użytków zielonych, brak wyraźnego postępu w technologii i konserwacji pasz. Są to poważne rezerwy, które w najbliższych latach trzeba będzie należycie wykorzystać.

Oceniając przebieg dotychczasowej kampanii sprawozdawczo-wyborczej, mówca stwierdza, że ostrze krytyki kierowało się przeciw dostrzeganym przez członków partii przejawom niedolności i nieoperatywności, braku dyscypliny, przeciwko słabościom zarządzania, a także niesprawiedliwemu, niezgodnemu z normami socjalistycznymi, rozwiązywaniu spraw ludzkich, kumoterstwu i klikowości.

Dyskusja rozwija tezy referatu. Dotyczy ona głównie problematyki województwa w szerokim znaczeniu tego słowa, ale nie brak i akcentów międzynarodowych. Protest budzi rozbudowa arsenału nuklearnego państw NATO.

Konferencja wybiera delegatów na VIII Zjazd PZPR. Są wśród nich reprezentanci różnych zawodów: chłopi, robotnicy, nauczycielka, lekarz...

Sprawnie pracuje ekipa „Sztandaru Ludu". Na gorąco opracowuje ona wystąpienia poszczególnych delegatów. Tadeusz Kwaśniewski adiustuje materiały, które zaraz potem nadaje się dalekopisem do Lublina. Dzięki temu już jutro szczegółowe sprawozdanie znajdzie się na łamach gazety partyjnej. „Sztandar" w tych dniach (oczywiście również i „Kurier Lubelski") ma sporo pracy: wczoraj odbyła się konferencja w Zamościu, jutro — w Chełmie. Trzy dni harówki. Rozumiem kolegów z dzienników, bo sam przecież miałem przez wiele lat identyczne obowiązki.

9 I. Konferencja w Chełmie. Tym razem z „Trybuny Ludu" przyjechał Stefan Janusiewicz, kierownik działu partyjnego tej gazety. Ze Stefanem dawno się nie widziałem, a przecież kiedyś kolegowaliśmy z sobą, pracując w „Głosie Szczecińskim". Znów okazja do rozmów.

W Chełmie referat wprowadzający do dyskusji wygłasza I sekretarz KW, Henryk Świderski.

Przeglądam sprawozdanie z działalności KW w latach 1978—79. Wiele problemów podobnych do tych, o których mówił Ryszard Socha w Białej. Np. obecnie ok. 10 proc. taboru samochodowego ze względu na osiągnięcie przebiegów ponadnormatywnych jak i nadmierne wyeksploatowanie kwalifikuje się do remontów kapitalnych bądź do kasacji. W porównaniu z rokiem 1975 współczynnik gotowości technicznej zmniejszył się w PKS-ach z 0,763 do 0,630. W woj. chełmskich, tak samo jak i w bialskopodlaskim, nadal tkwią duże rezerwy w racjonalnym wykorzystaniu użytków zielonych.

Szereg tematów, podjętych w sprawozdaniu, zasługuje na dziennikarską penetrację. Zadanie również i dla „Kameny", dla której Chełm jest miastem narodzin.

10 I. Spotkanie z aktywem partyjnym gminy i miasta Lubartów. Dwie godziny mówię o aktualnej sytuacji międzynarodowej i wiem, że wielu spraw nie poruszyłem. A przecież do lepszego poznania współczesności, warto by sięgnąć do historii.

Aktyw partyjny, a sądzę, że nie tylko aktyw, jest chłonny wiedzy. To dobrze. I w pełni zdaje sobie sprawę, że poszczególnych wydarzeń światowych nie można traktować w oderwaniu, że zachodzą między nimi ścisłe związki.

13 I. Wczoraj telewizja przypomniała dzień 12 stycznia 1945 roku, kiedy to ruszyła styczniowa ofensywa, która doprowadziła do wyzwolenia Warszawy i innych miast polskich. Pamiętam — przed świętami, w grudniu 1944 r. moja klasa odwiedziła czołgistów polskich, którzy stacjonowali w lesie koło Chełma. Przygotowaliśmy dla nich skromne upominki, paczki ze słodyczami — dowody pamięci. Niektórzy spośród żołnierzy byli niewiele starsi od nas. My, w wieku przedpoborowym, mogliśmy się uczyć. Oni musieli walczyć...

Dziś w telewizji kolejny odcinek filmu radziecko-amerykańskiego pod tytułem „czysto amerykańskim": „Nieznana wojna". Tym razem batalia o Stalingrad. Pomyślałem, ilu to spośród tych, którzy wiwatowali na cześć zwycięstwa w tym mieście — bohaterze, oddało później swoje życie w walce o wyzwolenie dalszych połaci ZSRR, w walce o wyzwolenie Polski... Między Bugiem a Odrą zginęło blisko 600 tysięcy żołnierzy radzieckich. Była to wysoka cena zwycięstwa.

W pierwszej wojnie światowej zginęło ogółem 10 milionów ludzi, w drugiej — 32 miliony. A przecież były to wojny prowadzone (nie licząc Hiroszimy i Nagasaki) przy pomocy tzw. środków konwencjonalnych.

Niestety, nie wszyscy wyciągnęli wnioski z dwóch wojen światowych. I to w dzisiejszym świecie, najeżonym rakietami z głowicami nuklearnymi, może spędzać sen z powiek.

STIEPAN SZCZIPACZOW

W 2 n-rze „Perspektyw" znalazłem krótką notkę: „Zmarł Stiepan Szczipaczow, lat 81, wybitny radziecki poeta liryk".

Zbiorek wierszy Szczipaczowa w popularnym wydawnictwie „Oganioka" trafił do naszego domu na jesieni 1944 r. Podarował go Ojcu jakiś oficer radziecki. Pamiętam, że ta poezja bardzo przypadła Ojcu do gustu, kilka wierszy przetłumaczył, weszły one później do II tomu „Pism" — „Od Łomonosowa do Jewtuszenki". Dwa spośród nich teraz przypominam. Utwór pt. „Dwie daty" powstał w 1939 roku, drugi, bez tytułu, w 1944 r.

MAJ

DWIE DATY

Wiem, że nadejdzie śmierć, nie minie mnie, niestety,
I daty dwie umieści się pod mym portretem,

I krótkiej kreski znak, co daty owe spoi,
W maleńkim milimetrze zawrze życie moje.

A gdyby dodać wszystkie moje kroki,
Ośm razy obejść mógłbym świat szeroki.

Do pracy budził świt mnie już od dziecka...
Jak wiersz — dwie daty, między nimi kreska.

A skoroś mój przyjaciel, to nad trumną powiedz,
Że w niczym nigdy dłużyzn nie znosił ten człowiek.

* * *

Może czas nam szczęścia nie poskąpi
Każda chwila z tobą jest mi słodka,
Lecz rozłąka w jakiś dzień nastąpi,
Ta, po której już nie będzie spotkań.

Tylko gwiazdy w czyjejś schadzki chwile
Będą sączyć wciąż swe światło blade.
Jak ja wtedy w zimnym gwiezdnym pyle,
Ukochana, znajdę twoje ślady?

Przełożył:
Kazimierz Andrzej Jaworski

Fot. W. Stępień

PRZED VIII ZJAZDEM PZPR

Miejsce kultury

Józef Jabłoński

ZBLIŻAJĄCE się nowe partyjne forum — VIII Zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej — wśród wielu zagadnień naszego kraju na eksponowanym miejscu postawi sprawy kultury. Tak wynika z Wytycznych Komitetu Centralnego, które są dokumentem ujmującym wszystkie sprawy naszego życia politycznego, społecznego i gospodarczego. Chodzi oczywiście o kulturę wymierzalną wskaźnikami praktycznymi. Oprócz twórczości artystycznej istnieje kultura pracy, stosunków międzyludzkich, organizacji społecznej — i ta stanie się przedmiotem debaty zjazdowej na równi z przemysłem, rolnictwem, transportem i sprawami gospodarki komunalnej.

Jako naród jesteśmy zainteresowani w tym, by w kulturę — to znaczy również w naukę, technikę, wynalazczość — inwestować. „Polak potrafi" — to sformułowanie przyjęło się na arenie międzynarodowej, kiedy jest mowa o udziale naszych inżynierów i robotników w budowaniu zakładów produkcyjnych na terenie innych krajów. Mamy dobrą markę za granicą. Wyścig pracy, który obecnie opanował cały współczesny świat, nie zastał nas nieprzygotowanymi. Ze zniszczeń drugiej wojny światowej wyszliśmy odrabiając dodatkowo zaległości zacofania gospodarczego, odziedziczonego po zaborach i sanacji, mamy ambicję dołączyć do czołowych na świecie krajów przemysłowych. Czy się to uda? Od nas samych, od każdego z nas to zależy. Wiemy, że pracujemy dla siebie i ta myśl dodaje nam uporu. W obozie krajów socjalistycznych liczymy się za pierwszego sojusznika Związku Radzieckiego i w tym partnerstwie upatrujemy rękojmię naszego powodzenia na dziś i na jutro.

Według powiedzenia, że apetyt rośnie z jedzeniem, musimy stwierdzić, iż wiele jeszcze mamy braków i niedociągnięć. Wciąż nie zaspokajane są potrzeby, jeśli chodzi o ruch wydawniczy, istnieje deficyt papieru i niewydolność bazy poligraficznej, nowo budowane osiedla mieszkaniowe nie są należycie obsługiwane przez sieć placówek kulturalnych, których jest za mało, istniejące kina na ogół wykazują niski standard wyposażenia, za mało uwagi poświęca się upowszechnianiu muzyki. Te wszystkie problemy zostały poruszone w rozmowie, jaką przeprowadził minister kultury i sztuki Zygmunt Najdowski z czytelnikami „Życia Warszawy". Są to kierunki działania na najbliższą przyszłość. Trzeba bowiem zauważyć, że w myśleniu o sprawach kultury zaznaczyła się wyraźnie konkretność, to znaczy ten sposób patrzenia, który ma związek z rzeczywistym układem warunków, potrzeb i możliwości. Kultura staje się wymierna. Słusznie zauważył Tadeusz Łomnicki („Trybuna Ludu", 20.XII.1979), że rozwój kultury doraźnie nie wyraża się w złotówkach, ale przecież w końcu i pod tym względem ma znaczenie: pobudza potrzeby wyższe, których zaspokojenie wpływa na podniesienie stopy życiowej społeczeństwa. Mówi się wyraźnie, że kultura nie jest tym, w co nie warto inwestować, nie jest deficytowa.

Ale oczywiście nie samymi wyznacznikami finansowymi mierzy się znaczenie tej dziedziny pracy i twórczości. Jesteśmy w tej sytuacji, że możemy i musimy uczestniczyć w procesie wytwarzania wartości kulturalnych na świecie, polskie dzieło artystyczne ma swoją niebagatelną rangę u narodów współczesnego świata. Mówią Wytyczne: *Partia przywiązuje wielkie znaczenie do działalności środowisk twórczych i instytucji artystycznych, do sprawnego funkcjonowania mecenatu państwowego i społecznego, do rozwoju ruchu społeczno-kulturalnego, do poziomu pracy i skuteczności oddziaływania środków masowego przekazu — prasy, radia, telewizji i wydawnictw, zawodowych instytucji artystycznych i placówek kulturalnych, do rozwoju budownictwa i przemysłów służących zaspokajaniu potrzeb materialnych sfery kultury.*

Z pojęciem kultury związana jest przede wszystkim twórczość. Czy można powiedzieć, że nasza twórczość spełnia pokładane w niej nadzieje? Że literatura, teatr, film wyrażają w pełni rzeczywistość naszego czasu? Owszem, istnieją dzieła zamierzone w tym kierunku, ale trzeba powiedzieć, że zbyt wiele jest formalnego eksperymentatorstwa, maniery preferującej stylistykę przed tematyką. Jest to sprawa samych twórców i odbiorców, mecenat państwowy nie popełnia tego błędu, by bezpośrednio ingerować w dziedzinę środków artystycznych, jakimi ma się posługiwać twórca. Kiedyś polityka kulturalna obejmowała również i ten zakres, czas jednak wykazał, że skutek tego postępowania był ujemny.

Nie znaczy to jednak, że publiczność nie oczekuje od pisarzy, dramaturgów, reżyserów wyrazu problemów nurtujących nas w skomplikowanej epoce końca drugiego millenium. Temat współczesny jest wciąż postulatem do pełniejszego niż dotychczas realizowania. Nie można powiedzieć, że twórcy omijają go, ale rzeczywistość nieustannie ich wyprzedza. Jeszcze do niedawna nie można było myśleć o Lubelszczyźnie jako terenie wielkiego przemysłu. Tymczasem Bogdanka z węglem stała się jednym z najważniejszych punktów na przemysłowej mapie Polski. Lubelszczyzna kiedyś tylko rolnicza będzie dostarczycielką energii cieplnej na cały kraj.

Nie zapominajmy, że na pojęcie kultury składają się również zjawiska z dziedziny moralności, obyczaju, stosunków międzyludzkich. I na te trzeba położyć akcent pedagogiczny. Wchodzą w życie młode pokolenia, które w warunkach dzisiejszego „przyspieszenia cywilizacyjnego", w pogoni za efektami natychmiast osiągalnymi nie zawsze doceniają wartości składające się na psychologię człowieka. Społeczeństwo socjalistyczne musi się składać z ludzi pełnowartościowych pod względem moralnym i intelektualnym. Wielką rolę w tym względzie do odegrania ma szkoła, rodzina, środowisko. Mamy wychowywać nie tylko przyszłych dobrych specjalistów, ale również dobrych ludzi. Właściwy stosunek do pracy i obowiązków, poszanowanie norm postępowania i życzliwy stosunek do otoczenia — to też świadczy o kulturze człowieka.

Ogólnokrajowe forum partyjne, jakim będzie VIII Zjazd, poświęci tym sprawom sporo uwagi. Z zainteresowaniem będziemy śledzili przebieg dyskusji, z powagą i poczuciem obowiązku przyjmiemy wskazania wynikłe stamtąd do praktycznej realizacji.

OKO-LICE SZTU-KI

5 milionów

MAMY w kraju około 40 tysięcy zabytków architektury i o tej właśnie grupie dóbr kultury pisze się najczęściej w prasie.

Znacznie mniej emocji towarzyszy tzw. zabytkom ruchomym: obrazom, rzeźbom, dziełom rzemiosła artystycznego itp. Jeśli nie liczyć muzealiów, wiodą one żywot ukryty: w kościołach, instytucjach państwowych, w domach prywatnych, gdzie stanowią jeden z elementów wyposażenia wnętrz, skromną pod względem materialnym część większej całości. Ich starzenie się przebiega na ogół spokojniej i nie ma konsekwencji takich, jak na przykład zarysowanie się stropu w zabytkowym pałacu, budzące niepokój lokatorów oraz, powiedzmy, głównego księgowego administracji obiektu. Zresztą jeszcze kilka czy kilkanaście lat temu właściciele takich rzeczy często nie zdawali sobie sprawy z ich wartości kulturowej i finansowej. Zżarł kołatek drewnianego amorka barokowego, mała sprawa, przecież może go zastąpić jakiś gips stosownego kształtu...

Opieka prawna i konserwatorska nad zabytkami ruchomymi także była i jest skromna, ponieważ nie dorobiliśmy się dotąd pełnej ewidencji owych dzieł znajdujących się poza muzeami. Swego czasu obliczano, że mamy w kraju tylko 800 tys. takich zabytków, nie licząc obiektów sztuki współczesnej, obecnie, po wieloletnich penetracjach, przychodzi podwyższyć tę liczbę do pięciu milionów. Miast więc w 1972 r., doczekamy się być może pełnej ewidencji gdzieś w 1999 roku. Jest to zadanie tak wielkie, jak skomplikowane — choćby ze względu na to, że znaczna grupa obrazów czy wyrobów rzemiosła artystycznego znajduje się w rękach prywatnych, które niechętnie otwierają mieszkania przed konserwatorami, choć wpisanie dzieła do rejestru zabytków gwarantuje mu konserwację na koszt państwa. Pojawiła się ponadto konieczność założenia kart inwentarzowych dla drobnych elementów, np. ornamentów snycerskich, wchodzących w skład takich obiektów, jak stare organy. Formy te, o wyrafinowanej nierzadko linii, są od dawna rozkradane i sprzedawane pokątnie, albo oferowane placówkom „Desy". Wszystko, dosłownie wszystko, co mieści się w rozległym polu twórczości artystycznej, szczególnie tej, która powstała przed laty, jest dziś przedmiotem handlu i ciemnych manipulacji.

Taka sytuacja daje też pole do popisu różnym „konserwatorom" z przypadku, rekrutującym się nierzadko ze środowiska studentów czy świeżo upieczonych absolwentów historii sztuki, którzy znajdują często zatrudnienie przy „ratowaniu" zabytków sakralnych. Nie mając większego pojęcia o konserwacji, „oczyszczają" obrazy żyletkami, malują rzeźby drewniane farbami akrylowymi, co fatalnie odbija się na zdrowiu tych przedmiotów i... jest karane jako działalność świadoma. Ministerstwo Kultury i Sztuki ogłosiło co prawda listę 600 osób uprawnionych do przeprowadzania prac konserwatorskich, którą wywieszono w kuriach biskupich i skierowano do wojewódzkich konserwatorów zabytków, ale nawet i w tej grupie pojawiają się ludzie, którzy dobierają sobie do pomocy panienki po liceach plastycznych — mniej im trzeba płacić za robotę — nie mające przecież większego pojęcia o sprawie.

Ewidencja zabytków, a następnie wprowadzenie ich do rejestru — to kwestie podstawowe dla ochrony tych wartości kultury narodowej. Tymczasem spośród 49 województw zaledwie kilkanaście prowadzi tę działalność w sposób metodyczny i sensowny. Do wielu innych, przede wszystkim nowych, można mieć poważne pretensje. Skonkretyzuję je w najbliższej przyszłości.

IJK

Kamena str. 3

W 35 ROCZNICĘ DONIOSŁEJ UCHWAŁY WRN W LUBLINIE

Książka dla wszystkich

Jan Smolarz

JEDNYM z historycznych kryteriów postępu stał się dostęp do szkoły i książki. W dziejach bibliotekarstwa polskiego przejawiało się to w idei upubliczniania bibliotek (np. KEN — upublicznianie bibliotek szkolnych) i biblioteki powszechnie dostępnej (koncepcje biblioteki ludowej i biblioteki publicznej w okresie zaborów), zaś po odzyskaniu niepodległości — w walce o ustawę biblioteczną. Był to postulat społeczny, z którym od powstania II Rzeczypospolitej występowali oświatowcy polscy w stosunku do rządu. Już w roku 1918 Związek Bibliotekarzy Polskich powołał komisję ustawodawczą w celu zebrania materiałów do opracowania ustawy bibliotecznej. Pierwszy projekt ustawy pochodził z 12 października 1919 r., następne wersje — z 1921, 1927, 1928, 1934, 1935, 1936, 1939 r. Ten ostatni projekt miał szansę stania się ustawą, lecz procedurę legislacyjną Sejmu przerwała wojna.

Jedynym dokumentem rządowym w sprawie popierania akcji bibliotecznej w okresie międzywojennym był Okólnik nr 31 Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z dnia 3 czerwca 1937 r. do wojewodów, przewodniczących wydziałów powiatowych i prezydentów miast. Jego intencja ograniczała się głównie do zharmonizowania udziału samorządu terytorialnego w akcji z postulatami i przedsięwzięciami Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego oraz wojewódzkich i powiatowych władz oświatowych. Ale akcja biblioteczna rozwijała się już od wielu lat, przede wszystkim dzięki inicjatywom regionalnym i lokalnym.

Spis bibliotek oświatowych według stanu na dzień 1 stycznia 1930 r. dowiódł, że wśród 532 bibliotek zarejestrowanych w województwie lubelskim aż 88,3 proc. placówek należało do organizacji społecznych a tylko 2,7 proc. do samorządów. W celu stworzenia zastępczych możliwości w sytuacji braku ustawy bibliotecznej — jak pisał P. Maślankiewicz — oraz wyposażenia w książkę pracowników oświatowych, jako ich podstawową pomoc i środek działania, na początku grudnia 1932 r. w województwie lubelskim została podjęta tzw. akcja biblioteczna, opierająca się na dobrowolnych świadczeniach samorządów powiatowych, miejskich i gminnych. To głównie dzięki niej sieć bibliotek oświatowych w województwie w roku 1937/38 składała się z 18 powiatowych samorządowych central bibliotecznych, 9 central społecznych, 58 samorządowych bibliotek stałych oraz 541 stałych bibliotek społecznych. Ich księgozbiór liczył 454 487 tomów. Biblioteki samorządowe dysponowały 113 410 tomami, którymi obsługiwały 18 proc. gromad i 31 proc. rejonów szkolnych (760 bibliotek ruchomych w 718 punktach); księgozbiór bibliotek samorządowych wynosił jedną czwartą zasobów książkowych wszystkich bibliotek oświatowych, zaś liczba czytelników i wypożyczeń — około połowy. Łącznie z bibliotek oświatowych korzystało 39 proc. ogółu ludności województwa.

Lecz nadeszły lata okupacji hitlerowskiej i dokonała się tragedia książki polskiej także na Lubelszczyźnie. Podobnie jak naród, prześladowana, palona, skazana na eksterminację, książka uratowana przed okupantem „zeszła do podziemia", by przetrwać lub stać się orężem w walce z najeźdźcą. Nieliczne jawnie pracujące wypożyczalnie biblioteczne rejestrowały rekordowe liczby czytelników. Obok konspiracyjnej prasy, cichą bohaterką tych lat była książka zakazana, ta z wykazów osławionych, chociaż ściśle poufnych „Listen des deutschfeindlichen, schädlichen und unerwünschten polnischen Schrifttums", z BCh-owskich kompletów, wędrująca za druty Majdanka, w zaufaniu przekazywana z ręki do ręki w najbliższym środowisku. Była azylem wolności, polskości, po prostu — Ojczyzny. Ale służyła też w pracy nad sobą — w samokształceniu, w tajnej nauce.

Niewiele jednak książek przetrwało wojnę. Rejestr strat i szkód w bibliotekach szkolnych, samorządowych, organizacyjnych i prywatnych objął 637 869 tomów. Straty w bibliotekach samorządowych wyniosły 95 proc. stanu księgozbiorów sprzed września 1939 r. (128 513 tomów).

Dwa tygodnie po ogłoszeniu Manifestu PKWN, 2 sierpnia 1944 r. zostało utworzone Kuratorium Okręgu Szkolnego Lubelskiego, w jego strukturze — Wydział Oświaty i Kultury Dorosłych, w którym już w pierwszych dniach sierpnia podjęli pracę: Józef Steliga jako naczelnik i Bronisława Wajszczukowa jako okręgowa instruktorka oświaty dorosłych do spraw bibliotek i czytelnictwa, przedwojenni działacze oświatowi. Rozmiary zadania wyznaczały przedwrześniowe niedostatki i okupacyjna dewastacja, w znacznej mierze — zagłada skromnego dorobku. W pierwszej kolejności usiłowano zabezpieczyć to co pozostało: w zakresie księgozbiorów — przez liczne apele do ludności o zwrot i dary książek, przeprowadzanie zbiórek książek, w zakresie personalnym — przez ogłoszenie w „Rzeczpospolitej" z 6 września 1944 r. wezwania KOSL o rejestrację przedwojennych współpracowników akcji bibliotecznej (niestety, bez większego rezultatu), w zakresie sieci — przez odbudowę choćby częściowo przetrwałych placówek. Zalecenia w tych kwestiach przekazało Kuratorium wszystkim PRN, MRN i GRN w piśmie z 21 IX 1944 r.: 1) zabezpieczyć istniejący w powiatach księgozbiór samorządowy; 2) wezwać obywateli miasta i powiatu do zwrotu książek; 3) pobudzić ofiarność społeczną i zorganizować zbiórkę książek; 4) wpłynąć na biblioteki organizacyjne, aby wyraziły zgodę na skomasowanie bibliotek w powiecie; 5) zapewnić bibliotekom opiekę przez: a) powołanie do pracy komisji bibliotecznych w ramach kultury i oświaty dorosłych, b) przez zaangażowanie fachowych bibliotekarzy; 6) zapewnić bibliotekom samorządowym rozwój przez uchwalenie niezbędnych funduszów na wszystkich szczeblach samorządu".

„Postawienie spraw bibliotecznych na właściwym miejscu" — postulowano w piśmie — „konsekwentne realizowanie hasła: książka dla wszystkich, dla wsi i miast, dla młodzieży i dorosłych — jest niezbędne w walce z odwiecznym wrogiem, powrotnym analfabetyzmem". Dwa dni wcześniej, tj. 23 września, KOSL przekazało Wojewódzkiej Radzie Narodowej projekt ustawy bibliotecznej w celu „zorientowania się w całokształcie polityki w zakresie bibliotek powszechnych", z jednoczesnym komentarzem, że „akcja biblioteczna prowadzona przed wojną na terenie województwa lubelskiego stwarzała grunt pod przyszłą ustawę biblioteczną i była prowadzona w ogólnych założeniach zgodnie z założeniami ujętymi w ustawie". Był to projekt ustawy z 12 października 1919 r.

Obie te inicjatywy zaowocowały konkretnymi dokonaniami. Właśnie pod hasłem: książka dla wszystkich, dla wsi i miast, dla młodzieży i dorosłych — 3 i 4 grudnia 1944 r. zorganizowano w województwie lubelskim pierwsze w Polsce Ludowej „Święto Książki Polskiej". Jego ideą była odbudowa bibliotek i propaganda czytelnictwa, zaś plonem m. in. 35 691 książek i 959 122 zł, które zasiliły biblioteki samorządowe, szkolne, naukowe i inne. Podręczniki rozdano uczniom. Także z zebranych książek wydzielono komplety dla stacjonujących w Lublinie formacji wojskowych i szpitali, z przeznaczeniem dla rannych i chorych żołnierzy. Z kwot wydzielonych dla bibliotek powiatowych powstał w budżecie KOSL specjalny „Fundusz biblioteczny". Zaś 10 stycznia 1945 r. po referacie J. Steligi na temat potrzeb tworzenia sieci bibliotek publicznych Wojewódzka Rada Narodowa na swoim siódmym plenarnym posiedzeniu podjęła uchwałę o samorządowych publicznych bibliotekach powszechnych. Między innymi postanowiono utworzyć wojewódzką sieć samorządowych bibliotek powszechnych składającą się z wiejskich i miejskich samorządowych bibliotek gminnych wraz z oddziałami i punktami bibliotecznymi, z bibliotek powiatowych i wojewódzkiej. Do sieci mogły zostać włączone również biblioteki społeczne. Biblioteki wojewódzkie i powiatowe miały pełnić funkcje central w zakresie pomocy organizacyjnej, instruktorskiej i udostępniania „płynnej" części swoich księgozbiorów. Przewidywano możliwość połączenia biblioteki wojewódzkiej i miejskiej oraz powiatowych i miejskich. Bibliotece wojewódzkiej wyznaczono rolę biblioteki regionalnej, zapewniając jej tzw. regionalny egzemplarz obowiązkowy. Zakłada-

NAUCZYCIEL UCZEŃ PARTNERSTWO

Dokończenie ze str. 1

za sobą ogrom doświadczeń i muszę powiedzieć, że jeśli chodzi o kulturę w szkole, będącą nierozłączną częścią historii szkoły, to nie udało się nigdy w kręgu mojego działania, mojej pracy zorganizować czegoś na trwałe.

— *W tradycyjnej formule szkoły?*

— O to chodzi. Bo są udane imprezy, tworzą się zespoły i umierają, są ludzie i odchodzą. Być może dlatego właśnie, że nie ma ostoi w jakimś sensie stałej i trwałej. W życiu każdego są wybuchy, eksplozje jakichś działań, entuzjazmu, projektów, a potem są okresy stagnacji. Myślę, że byłoby inaczej, gdyby się to wsparło czymś materialnym, ale nie w sensie wyposażenia, wielkich nakładów finansowych, tylko stworzeniem domu — w całym znaczeniu słowa „dom": instytucji, do której się powraca, o której się myśli, z którą człowiek jest w stanie się związać. Absolwenci szkół mogą mówić: „Był u nas chór, należałem doń, to była piękna sprawa", ale inaczej będzie z samym tylko chórem, lub z efemerydalnym kabaretem, a inaczej, gdy pozostanie dom.

— *Znam takie sytuacje, że wspomina się chór w szkole jako wielką sprawę i choć nie było żadnego domu kultury tamte doświadczenia pozostały żywe w pamięci.*

— No właśnie, ale w naszej szkole jest bardzo bogata tradycja — 113 lat istnienia. Otóż bogactwo tradycji tkwi w rozwoju szkolnej kultury. Ta szkoła miała swój teatr, chóry, orkiestrę, przeróżne formy tworzone przez młodzież. A były okresy, gdy to wszystko zamierało. Obecnie, im częściej używa się hasła o bogaceniu form życia pozaszkolnego, o wzmożeniu pracy ideowo-wychowawczej, tym częściej człowiek czuje niepokój: co się za tym może kryć? Co z siebie można dać, żeby to nie było nawoływanie bez pokrycia? Mówiąc w przenośni, ten dom rodzinny naszej kultury będzie ostoją, do której da się wrócić, gdyż tworzy ogniwo, łączące naszych absolwentów na stałe. Bolesne jest, że kontakt się urywa, poza czasami organizowanymi spotkaniami na kolejne „lecie" szkoły.

— *Wyobrażam sobie, że w praktyce rozstanie ze szkołą będzie mniej brutalne, ale myśl, że absolwenci zechcą tu wracać i że jeszcze będą w wymierny sposób coś robić dla szkoły, przychodzi mi trudniej.*

— Musi potrwać, zanim więzi będą głębokie. Chcielibyśmy, aby grono przyjaciół tego domu, powracających doń z każdym rokiem, powiększało się. Nawet gdyby dla niektórych ograniczyło się to do przyjścia do muzeum szkolnego, obejrzenia starych kronik i siebie na starych zdjęciach. Każdy z nas wróci chętnie do wspomnień szkolnych, do zakątka, gdzie człowiek odnajdzie siebie z dawnych lat.

— *To jest sentymentalna część działalności i przyszłych korzyści ze szkolnego domu kultury.*

— Kiedy budynek zostanie wykończony, chcemy na przykład zorganizować możliwie stałą ekspozycję grafiki, malarstwa, żeby uczeń miał kontakt ze sztuką i żeby umiał popatrzeć na obraz, choć niekoniecznie w celu wielkich artystycznych doznań. Jestem entuzjastką wprowadzania do szkół, które, jak nasza, są mniej zhumanizowane w swoim kształcie i w profilu nauczania, tych elementów edukacji, które rozszerzą osobowość, horyzont jednostki. W przypadku szkoły ekonomicznej, gdzie się pracuje, pod presją przepisów prawnych, w sferze cyfr, odpowiedzialności za bilans, idzie o to, by rozbudować wyobraźnię. Nie wiem czy na słowo „wyobraźnia" wszyscy jednakowo reagują, ale dla mnie jest to wszystko, co może przesądzić o działaniu twórczym, sensownym i efektywnym.

— *Czy trzeba do tego aż domu kultury w szkole? Przecież jeśli chodzi o wyobraźnię plastyczną, to macie dwa kroki do sal BWA. Nie zrobicie nigdy tego, co oni tam robią.*

— Tak, ale dom kultury to instytucja utrzymująca kontakt i z salami wystawienniczymi i z teatrem i z filharmonią — nie tylko lubelskimi. Byłoby źle, gdybyśmy nie wytwarzali poprzez ten dom zapotrzebowania na kulturę szeroko rozumianą. Nie ukrywam, że pojęcie domu kultury nadało pewnego rozmachu, entuzjazmu, że jest w wyobrażeniu uczniów i pedagogów formą wyższej jakości działania. Ale wszystko zależy od ludzi, którzy kulturę rozumieją, entuzjazmują się nią, nawet ją kochają.

— *Ale to będą ludzie na osobnych etatach, a nie z grona nauczycielskiego...*

— Trudno to przesądzić, choć nie da się ukryć, że entuzjastów nie łatwo odnaleźć wśród tłumu. A i tak zbyt wielu ich nie ma. Nasza szkoła ma szczęście, że trafiliśmy na ludzi chcących i potrafiących działać, którzy na przykład nie liczą czasu.

— *Odnoszę wrażenie, że w szkolnym domu kultury widzi Pani źródło nowej jakości, jeśli idzie o tworzenie kultury w szkole, zaczyn nowego systemu.*

— Raczej widzę to jako jedną z form systemu, bo zadania szkoły są o wiele większe. Zdajemy sobie sprawę, że poprzez dom kultury nie załatwimy wszystkich problemów wychowawczych, że nie osiągniemy chociażby pełnego partnerstwa w stosunkach z uczniami. Upatrujemy w domu kultury momenty dające satysfakcję młodzieży, będące dla niej źródłem przeżyć, emocji, wyżycia się. Podstawowy tor działania w szkole chcemy wspomóc działaniem kulturotwórczym.

— *Czy stworzyliście tę instytucję, bo ciasno było wam w szkole, czy jest inny kontekst — po-*

Kamena str. 4

nie i utrzymywanie samorządowych publicznych bibliotek powszechnych należało do samorządów, które powinny preliminować: w budżecie gminy lub miasta środki na zakup co najmniej jednej książki na 100 mieszkańców, w budżecie powiatu — najmniej pięć książek na 1000 mieszkańców. Rady narodowe miały powołać podkomisje biblioteczne jako organy doradcze i opiniodawcze.

Jednocześnie WRN podjęła uchwały w sprawie zwrócenia się do rządu o przekazanie powiatowym bibliotekom samorządowym księgozbiorów opuszczonych z rozparcelowanych majątków oraz o wydanie dekretu o bibliotekach. Była to już druga inicjatywa władz województwa lubelskiego w stosunku do władz centralnych w tej ostatniej sprawie, ponieważ 19 września 1944 r. kurator Franciszek Krzemień-Ojak zwrócił się do Resortu Oświaty PKWN pismem z załączonym projektem ustawy z 12 października 1919 r. o bibliotekach i opiece nad zbiorami bibliotecznymi „z prośbą o rozpatrzenie i ewentualne wydanie dekretu".

Aczkolwiek pierwszy dekret (z mocą ustawy) o bibliotekach i opiece nad zbiorami bibliotecznymi w Polsce został wydany dopiero 17 kwietnia 1946 r. (wszedł w życie 18 czerwca 1946 r.), a jego głównym autorem był J. Grycz, to jednak niewątpliwie pionierskie po wojnie inicjatywy lubelskie odegrały rolę stymulatora procesu legislacyjnego w zakresie bibliotekarstwa, zaś dokumenty w kilku sprawach znalazły wyraźny odgłos w ustaleniach i sformułowaniach dekretu. Stały się one niejako wstępem wyjaśniającym tego aktu ustawodawczego, który legł u podstaw działań w zakresie odbudowy i blisko 22-letniego rozwoju bibliotek w Polsce Ludowej.

Bezpośrednim skutkiem tych inicjatyw były efekty w zakresie odrodzenia, rekonstrukcji, a głównie budowy powszechnego bibliotekarstwa lubelskiego do czasu ukazania się dekretu. Według pierwszej powojennej rejestracji bibliotek, 1 stycznia 1946 r. w województwie lubelskim były 33 biblioteki samorządowe z 66 781 tomami. W chwili ukazania się dekretu województwo dysponowało pełną siecią bibliotek powiatowych, 11 bibliotekami miejskimi, 6 gminnymi oraz 156 punktami bibliotecznymi. Na koniec sierpnia 1946 r. pracowało już 36 bibliotek samorządowych (71 901 tomów). Lecz dynamiczny rozwój sieci publicznych bibliotek powszechnych nastąpił dopiero w kolejnych latach — w wyniku realizacji dekretu i trzyletniego planu inwestycyjnego.

Z jakiego konia nie chce spaść kierownik?

Dokończenie ze str. 1

dów osobowych... Ty mi to, ja ci tamto.

Meble do pomieszczeń administracyjnych załatwiła pewna firma wojewódzka, która woli, żeby jej nie wymieniać, bo musiała się gimnastykować na krawędzi przepisów. Bardzo ładne wyposażenie działu obsługi klienta sprawiła stacji pewna firma lubelska, która woli, żeby i tak dalej.

Wykonawca oddał obiekt z niejakimi usterkami. Na przykład cieknący dach, niesprawne ogrzewanie, za słaby nawiew ciepłego powietrza... Tak że mechanicy, którzy przybyli pracować w tej stacji, musieli się czasowo przekwalifikować na budowlanych, aby prowadzić dzieło konstrukcji obiektu do końca.

Kierownik stacji woli, żeby o tym nie pisać, albowiem wykonawca zrobił grzeczność (na krawędzi przepisów), iż przyjął zamówienie na budowę tej inwestycji. Bank zrobił grzeczność, że udzielił w tej sytuacji kredytów. A w ogóle gdyby nie przychylność władz i umiejętność wyszukania podstawy prawnej do rozpoczęcia budowy, Lublin nigdy by tej stacji nie otrzymał.

Autorem projektu stacji jest człowiek, z którego podręczników kierownik ongiś się uczył, jakie mają być tego rodzaju obiekty. I kierownik przypomina sobie, iż owe podręczniki wskazywały na konieczność używania kwasoodpornych metali i wykładzin w ładowni akumulatorów. Tymczasem projekt tej stacji nie przewidywał takowych metali oraz wykładzin, położono zwyczajne i najprawdopodobniej będzie kłopot.

Powstaje pytanie, czy ja się oburzam, iż w taki właśnie, a nie inny (normalny) sposób przeprowadzono tę budowę? Otóż ja się nie oburzam absolutnie, a wręcz przeciwnie — cieszę się, że łańcuch wysiłków ludzi dobrej woli oraz elastycznego pomyślunku sprawił miastu tak potrzebną inwestycję. I niech historyk naszych czasów martwi się o odpowiedź na pytanie, dlaczego ten obiekt, skoro już powstał, nie mógł powstać w sposób normalny?

Oglądam bogato wyposażone stanowisko diagnostyczne w dziale obsług szybkich. Rewelacją tego stanowiska mają być nie tyle same urządzenia, ile fakt, iż będzie się je użytkować na co dzień i zgodnie z przeznaczeniem. Obok rzecz unikalna raczej — hamownia podwoziowa, która też ma działać, służąc do sprawdzania, jak zachowują się zespoły samochodu w czasie jazdy. Niemal każde stanowisko naprawcze wyposażone jest w urządzenie do pompowania kół. Będą funkcjonować odciągi spalin.

Nie lubię pisać o pobożnych zamierzeniach czy programach. W tym jednak przypadku, gdy słowa te zostaną opublikowane, rychło da się stwierdzić, na ile one stały się ciałem. Dlatego też pozwólmy kierownikowi pomarzyć, jakie porządki będą panowały na tej stacji.

Czystość. Łatwo zmywalna terakota na jednych stanowiskach, okratowane ścieki oleju na drugich. To już jest. Wymiana ubrań personelu raz na tydzień co najmniej. Żaden pojazd nie ma prawa wjechać do naprawy czy przeglądu brudny. Tak więc mycie pojazdu będzie zasadniczo obowiązkowe, z czym klient musi się zgodzić.

Uproszczenie biurokracji. Klient wjeżdża na stanowisko weryfikacyjne, uzgadnia z pracownikiem zakres naprawy, oddaje dowód rejestracyjny i uzyskuje informację, kiedy ma się zgłosić po odbiór zreperowanego samochodu. Cała pisanina odbywa się za plecami klienta.

Z pracownikami produkcyjnymi klient zasadniczo nie będzie miał kontaktu. Po odebraniu samochodu otrzyma wizytówkę, kto reperował pojazd. I na tej podstawie będzie mógł zgłaszać ewentualne reklamacje.

A gdy klientowi czegoś zabraknie? Nie może niczego zabraknąć. Kierownik już usunął kilka osób, które podejrzewał o nadmierną lepkość rąk, choć do pełnego zatrudnienia brakuje jeszcze połowy załogi. A zresztą będzie depozyt.

Dogodne rozwiązanie napraw powypadkowych. Dotąd klient oddzielnie rozliczał się ze stacją i z PZU. U kierownika inaczej. Przyjedzie wypadkowicz z protokółem PZU, zostawi samochód, który mu stacja naprawi i sama dokona rozliczenia z PZU, w tym też ewentualnie dokona korektury zakresu naprawy.

Generalna zasada — klient z samochodem po okresie gwarancyjnym zawsze otrzymuje stare części, które mu z pojazdu wymontowano celem wymiany na nowe. I stanie się dla wszystkich jasność, co reperowano, co wymieniano, kto to robił i dlaczego.

Kierownik jeździł po kraju i przyglądał się pozytywnym rozwiązaniom oraz doświadczeniom przodujących stacji obsługi. Wierzy, że to wszystko da się zastosować w tej jednej stacji, choć, oczywiście, na zaopatrzenie w części zamienne kierownik nie ma wpływu i głęboki deficyt akumulatorów spędza mu sen z powiek.

Może w każdym razie zagwarantować, iż w jego stacji zostanie zrobione wszystko, aby zmienić niechwalebną opinię, jaką mają stacje obsługi w Polsce. I z tego konia kierownik wyraźnie nie chce spaść.

Maciej Podgórski

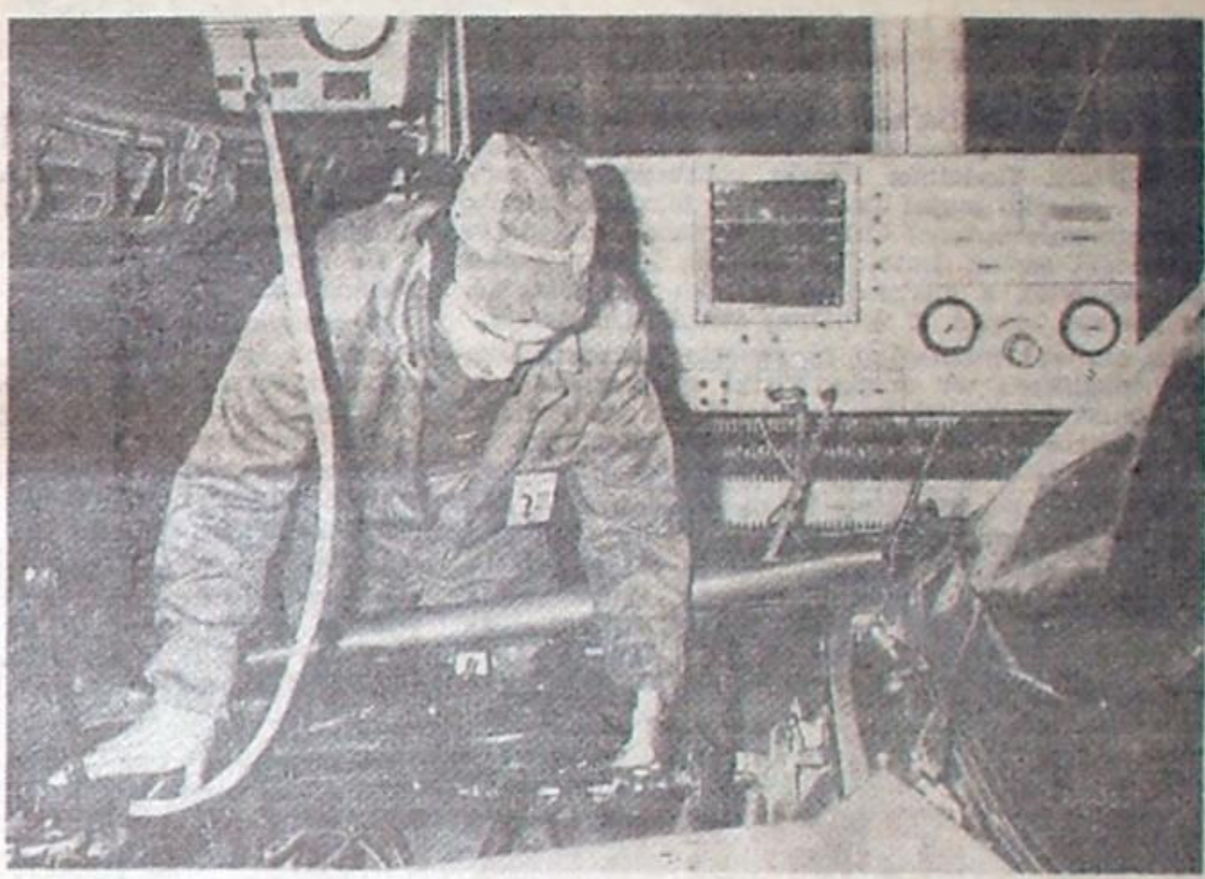

Na stanowisku diagnostycznym

Fot. W. Stępień

trzeba takiej placówki, aby wyjść poza mury szkoły?

— Nie ukrywam, że uważałam wyjście z budynku szkoły z kulturą za celowe. I chociaż mówię uczennicom: bądźcie zawsze eleganckie, miejcie mundurki czyste, dobrze skrojone, włosy ufryzowane, nawet oczy lekko „podrobione", żebyście były współczesne, a nie takie umundurowane owieczki z szarej masy, to mimo wszystko budynek szkoły wywiera presję na samopoczucie ucznia, kojarzy się ze sprawami natury czysto szkolnej, i dlatego wyjście ma znaczenie. Tutaj dzwonki — tam ich nie będzie, tutaj cisza 45-minutowa — tam niech tętni życie cały czas, niech tam będzie gwar, śmiech i śpiew.

— Ale ja poszukuję odpowiedzi na jeszcze inne pytania: czy wasz dom kultury i to, co tam zrobicie, jest związane wyłącznie z warunkami waszej szkoły, czy to jest rozwiązanie do zastosowania w każdej szkole?

— Z całą pewnością nasz pomysł nie może być monopolem jednej szkoły, ale jest inny problem: ostatnio wiele mówi się na temat ochrony praw nauczyciela, jego czasu pracy i jest to pozytywne, ale jestem głęboko przekonana, że zagubione zostały interesy ucznia. Ja będę głośno nawoływać o odnowę praw ucznia. Gdzieś zaczyna ginąć piękne pojęcie, jakim jest takt pedagogiczny, to, co może nam zbliżyć i wywołać partnerskie działania z uczniem. Partnerstwo nakłada piekielnie trudne obowiązki na nauczyciela, bo je trzeba przemyślnie ukształtować, by i dystans zachować i autorytet wzmocnić i zdobyć zaufanie. To jest trudniejsze niż dobrze przygotować się do lekcji. Zawsze jestem zdruzgotana, jeśli młodzież przychodzi do mnie ze sprawami, które poprzez różne ogniwa w szkole dawno powinny być z pożytkiem dla młodego człowieka rozstrzygnięte i rozwiązane. Mam wtedy refleksje, że coś niedomaga w systemie działania na rzecz ucznia. Że nie spełnił obowiązków ktoś, na kogo uczeń ma prawo liczyć.

— Czyżby więc w nowej placówce uczniowie mieli odnaleźć atmosferę partnerstwa?

— Szkoła nie może wszystkiego przerzucić na szkolny dom kultury. Ta część naszej inicjatywy nie jest panaceum na wszystkie problemy, choć faktycznie ważne jest, że tam nie będzie pewnych atrybutów lekcyjnych, np. dziennika, stopni, lecz to jedna mała cząstka organizmu szkolnego.

— Ale w końcu to wyście wymyślili szkolny dom kultury, a nawet podejrzewacie, że czegoś podobnego nie ma w całej Polsce.

— Nasz dom musi mieć więcej intymności szkolnej i w tym jest jego wyższość, że to jest nasze, absolutnie nasze, że nie przyjdzie nikt obcy, który to zniszczy, lub bez naszej wiedzy coś zmieni. Są szkoły mające własne bursy i internaty, a my jesteśmy jedną z nielicznych w Lublinie, ale największą — 2,5 tysiąca uczniów — mającą tylko 30 miejsc w internatach. Wobec tego nasza młodzież poza gmachem szkoły ma na ogół trudne warunki bytowe i to powinno być, szczególnie u nas, dopingiem, żeby stwarzać atmosferę domową, dodatkowego ciepła. Marzeniem mojego życia jest zbudować internat dla czterystu osób.

— Wydaje mi się, że gdy Pani mówi o problemie partnerstwa w szkole, o działalności kulturalnej, to widzi Pani dla tych spraw mało miejsca w tradycyjnej szkole. Istnieje przecież niebezpieczeństwo, że nauczyciele mogą powiedzieć: „Właściwie działka, związana z pracą kulturalną wśród uczniów, jest za mnie odrobiona, mamy dom kultury, a mnie wystarczy, że zrealizuję program".

— To nie musi, ale może być dramatem oświaty. Nigdzie, w żadnym systemie nie istnieją tak głębokie potrzeby korelacji, koegzystencji, współdziałania, jak właśnie w szkole. Wyizolowanie jakiegokolwiek problemu jest niesłychanie szkodliwe dla końcowych efektów pracy dydaktycznej i wychowawczej. Więc albo wszyscy będą tym samym żyć, albo będziemy działać efekciarsko, ale bezsensownie.

— Czy uczniowie równie entuzjastycznie przyjmują pani motywacje?

— W moim modelu ucznia żywe jest marzenie o wzorze tego, co kiedyś nazywało się „pensjonarką". Dzisiejszy uczeń to nie jest sztubak lub pensjonarka. To jest młody człowiek, który za wszelką cenę walczy o status człowieka dorosłego i za wszelką cenę chce pozorować to, co jeszcze jest przed nim. Boleję nad tym, że nie chce na zewnątrz deklarować przynależności do szkoły. A może właśnie dlatego, że poza formalną przynależnością, poza odrabianiem lekcji, przynoszeniem piątek lub dwój nic się więcej nie kryje, co by wyzwalało szerszą wyobraźnię? Może to tylko ta „buda" i nic więcej?

— Wyobrażam sobie, że dotąd nie będzie nic więcej, dopóki nie będą mieli wpływu na to, co się w ich szkole dzieje.

— O to chodzi. Oczywiście jeśli zaczną współtworzyć, współdecydować, to będzie inaczej. Niektórym pedagogom wydaje się, że jeżeli wprowadzi się uczniów do uczestnictwa w radzie pedagogicznej, to coś rozwiąże. A to nie rozwiąże nic, bo pewien majestat musi pozostać nienaruszony. Trudniej jest stworzyć sytuację, by uczeń naprawdę współdecydował i tworzył życie szkoły, niż posadzić go na radzie pedagogicznej.

— Zatem myśli Pani, że w placówce, jaką będzie wasz dom, uczniowie znajdą możliwości, by przyswoić sobie autentyczniejsze, bliższe im formy współdecydowania, współtworzenia kultury szkolnej i odpowiedzialności za nią, by potem móc swe umiejętności wykorzystywać w całym kontekście organizmu zwanego szkołą. Czy tak?

— Tak.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: Bronisław Kowalski

DROGOWSKAZY

Do szeregu osobistości ze świata kultury, nauki i sztuki zwróciliśmy się z prośbą o wypowiedź na temat zasad, którymi kierują się w życiu, pracy twórczej i działalności społecznej. Zależało nam na uzyskaniu czegoś w rodzaju auto-komentarza ludzi, którzy dali się poznać od strony swoich osiągnięć, przy czym nie chodziło nam o otrzymanie „przepisu na sukces", lecz orientacji ustalającej kierunek życiowych zamierzeń. Prosiliśmy o wypowiedzi krótkie, by tam wyraźniej wyszła na jaw generalna linia postępowania.

W poprzednich numerach naszego pisma zamieściliśmy już tego rodzaju wypowiedzi prof. dra hab. Władysława Tatarkiewicza, prof. dra hab. Stanisława Lorentza, artysty grafika Szymona Kobylińskiego, prof. dra hab. Włodzimierza Sedlaka i dyrektora Teatru Studio w Warszawie Józefa Szajny. Obecnie zabiera głos prof. dr hab. Jerzy Topolski z Instytutu Historii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

JERZY TOPOLSKI

MYŚLĘ, że „układ sterujący" mym życiem i postępowaniem mógłbym zrekonstruować względnie prosto. Jest to zakładana konsekwencja w działaniu oraz elastyczne formułowanie celów tego działania. Elastyczne formułowanie celów nie oznacza indyferencji w odniesieniu do nich, lecz działanie w paru kierunkach (oczywiście powiązanych jakąś ogólną ideą, wynikającą z określonego rozumienia świata). Wówczas mniejsze sukcesy w realizacji jednego z celów — a także porażki — rekompensowane są przez realizację innych zamierzeń. Konsekwencji zatem nie rozumiem jako dogmatyzmu, lecz jako możliwie racjonalne działanie, liczące się także z trudnościami. Za najważniejszą cechę i niezbędne „wyposażenie" intelektualne ludzi nauki (oczywiście nie tylko) uważam wyobraźnię. Z nią zaś wiążą się marzenia, także marzenia o uzyskanych wynikach, osiągnięciach. Plany powinny być zawsze ambitne, im ambitniejsze, tym w większym stopniu mogą zostać zrealizowane. Dążąc do własnych celów chcę pamiętać o tym, że historia to globalny rezultat mnogości krzyżujących się działań. Warto wiedzieć jakie jest w tym miejsce naszego działania.

Fot. CAF-Staszyszyn

TĘSKNOTA

Kazimierz Niechoda

CZEGO by ja nie dał, żeby czas nazad wrócić. W dziecinnych latach znowu się znaleźć. Rodzinne Paszki zobaczyć. Oj, mamieńko moja! Jak mnie do tamtych czasów niewymownie tęskno! Chciałby ja nazad maleńkim zasrańcem zostać. Boso i w koszuli, ledwie pępek zakrywawszej, z gusiami w bajorku się potaplać. Na pieczce pospać. Z wspólnej miski kuci pojeść.

Nie ma was, mamieńka, na świecie. Na paszkowskich mogiłkach wy śpicie. Listki wam szeleszczo. Pasikoniki cykajo. Głowy wy mojej już nie utulicie. Nie użalicie się nad losem biednego sieroteńki.

Myślami ja w tamte czasy uciekam. Pomnę paszkowski kościołek. Jego bieluchne dzwoniczki z daleka już były widne. Lipy dorodne wkoło rośli. Tamuj mnie ochrzcili. W sianokosy ja sie rodził, to i wypadało mnie Antonim nazwać. Zafrasowaliś wtenczas tatki, bo po susiedzku z nami Antoni Karpuszko żył. Strasznaja pijanica. To i bojaliś tatki, żeby synek w susiada Karpuszke sie nie wdał. Jakoś na koniec przemogliś i tak ja Antonim został.

Niedaleko naszej chaty las szumiał. Chodzili my tam za grzybami. Bywało, że cało płachte bahniaków i lisiczek nabrali. Za lasem bahna zaczynaliś. Wiklina i oczerety jak okiem dosięgniesz. Za nic by ja tam nie poszedł. W wiklinie dzieciołapy żyli. Straszne chapuny. Dzieci nieostrożny chapali. Nachapawszy dzieci, na słoneczku ich suszyli. Potem suszone na nitki nizali i sprzedawali na targu w Starowoli miastowym paniusiom. Miastowa paniusia takie suszone dziecko na nocke namoczyła i stawało się one jak wprzódy duże.

Jak podrósł, do kościołka ja często biegał. Na chorze organy kalikował. Szykował sie dotych czynności jak na wesele jakie. Wyszywaną rubaszke tatowo wdziewał. Rubaszka, będąc przydługa, skutecznie dziury na srace zakrywała. Pojasem sie jeszcze przewiązał, ot i był już gotowy iść Panu Buhu służyć. Na chorze to ja, jak mało kto, był ważny. Przecie to ja organowe piszczałki ożywiał. Świątynie muzyko wypełniał. Bywało, że jak zagrajem, to aż lichoradka po śpinie przejdzie. Tylko gospodarze, które księdza Bakinowskiego w czasie procesji pod ręce podtrzymywali, w ważności mogli się z nami porównywać. A i organista mnie lubiał. Kalikował ja akuratnie. Nigdy sie nie zagapił. Tylko jednej śpiewaczki z choru nie mógł ja nijak ścierpieć. Organista z miasta jo sprowadził. Przydupnice niby tako. Żeby to choć śpiewać ona umiała. Dzie tam! Jak głos wydała, to jakby kto po szkle kozikiem skrobał. Tak sie zaraza popisywała bo proboszcz Bakinowski był mocno przygluchawy. Spiewania jej nie dosłyszał. Więc na każdej sumie mogła sie ona wypuszczeć i wysapać ile dusza zapragnie. Ale na koniec proboszcz na jej śpiewaniu się poznał. Pomne, w czasie jutrzni to było. Spiewaczka wciągnęła brzucho, tchu nabrała i jak ci piśnie. Szyby w kościołku zadźwięczali. Święty Pioter co w bocznym ołtarzu stojał, brewi zmarszczył. Proboszcz Bakinowski choć mocno przygluchawy, aż podskoczył. Odwróciwszy się od ołtarza w strone choru, kułakiem pogroził.

Na tym występie kariera śpiewaczki w Paszkach skończyłaś.

Organista już więcej niż dwadzieścia roków w Paszkach żył. Wszyscy go za swojego, tutejszego uważali. Wypić to nie powiem, on lubiał. Jak butelke zobaczył, aż mu ręce biegali, takiej trasotki dostawał. Poreszto nie dziwota, u nas każdy chłop wypić nade wszystko lubiał. Za to bajarz był z niego wielki. Wieczorkami, kiedy słoneczko topiłoś w kupieckm bahnie, przedziwne historie rozkazywał.

„Razu pewnego — prawił — grał ja na ślubie gdzie mołoducha z trupem zimnym wieńczałaś. Jak pomne, w Starowoli to było. Narodu się zbiegło mrowie. Żeby tako niezwykłość zobaczyć, niektórzy furmankami, cało noc, aż za Pacynicz jechali. A i było na co popatrzeć. Pan młody w czarny kościum przyodziety, w bielutkiej trumience spoczywał. Przed wielki ołtarz na pleczach drużby weselne go przynieśli. Małoducha obok stojała. Blada i spokojna taka. Ręke zimne pana młodego odważnie w swojo wzieła i wierność jemu przysięgała. Bliżej stojawszy mówili, że wtenczas pan młody na jej ręce swoje zimne palce zacisnoł i dawaj do siebie ciągnoć. Swieczki w kościele przygaśli. Mroczno i straszno sie zrobiło. Dopiero jak ksiądz znak krzyża w powietrzu nakreślił, zrobiło sie jak wprzódy jasno. Nieboszczyk sie uspokoił. Uśmiechał sie blado, nieboraczek.

Zanim do swadźby tej doszło, kochali sie oni niewymownie Przy księżycu niejedno nocke przemarzyli. Czulili się jak gołąbki jakie. Dobrze im było jak w raju. Do swadzby już wszystko było gotowe. Samogonki napędzili. Kabana zakłuli. Cała wyprawa, nakrochmalona w kufrze leżała.

A tut takie nieszczęście! Nie więcej jak dwa dzionki przed swadźbo, drzewo w lesie naraz młodego przygniata. Krew tylko uszami poszła. Rozpacz i płacz wielki. Niedoszła mołoducha nic, tylko powtarza, uparta — „Ja już jego na wiki! Ja jemu słowo dała! On moj muż będzie!" Odmawiają tatki, płacze. Na nic wszystko. Przed ołtarz z nieboszczykiem sie wybiera. Wierność jemu przysięga.

Kiedy na mogiłkach pana młodego do jamy włożyli, mołoducha za nim hyc — do dołu. Wieko trumienki sobo przykryła. Gorzkie łzy leje. Ot, ile sie naprosili, żeby nareszcie z jamy wylazła!

Ludzie powiadali, że potem na bahnach można było pana młodego zobaczyć. Snuł sie w wieczornych oparach nad oczeretami. Przezroczysty jak mgiełka. Ręce wyciągał przed siebie i zawodził — „Jadwisia! Oh, Jadwisia!".

Któregoś wieczorka poszła ona na bahna i już z kochanieńkim na zawsze została. Kiedy wiater znad bahien zawiewa, słyszno jak oni sobie czule słówka mówio, tęskne piosenki śpiewajo. Znowóż im dobrze jak w raju."

Kamena str. 6

Jan Górec-Rosiński

ISTAMBULSKIE MECZETY

Boski Skarabeusz przewrócił się
i nie mogąc wstać przebiera
nóżkami-minaretami...

Jest to na pewno
rajski żuk Mahometa
Topkapi-Sarayi i błękitny żuk
sułtana Ahmeta a także
Sulejmana Wspaniałego
wokół poświętników
wypełnionych duszkami wiernych
świątynia Mądrości
Hagia Sophia
modli się po grecku
w Wielkim Mrowisku
wije się Wąż delficki
wróżąc żukom Allacha
bizantyjski surrealizm

Miecz Bosforu
przecina złote jabłko Konstantyna
w głębi pomiot diabelski
Bazar Ludzi Chorych na Wyobraźnię

Jan Stanisław Stefaniak

NAGROBEK

Mojej Miłości

Po tygodniu dziesięciodniowym
kto wie ile dni ma tydzień
delikatnie
palcami
rozkwitają bukiety dłoni
dłonie
cóż głaszczą albo bolą
nie tak mocno jak serce
nie tak czule jak ono

Niewiadome to się czyta
j u t r o
jutro jeszcze jutra nie przeżyło
o konwalie białe
najbielsze
o serce
najserdeczniejsze

Dawałem tobie same niepokoje
i trochę słońca spoza chmur olbrzymich
jak spojrzenie spod powiek
i mnie
gdy mnie nie ma we mnie
gdy mnie nie ma
w tobie

Lenin w Gorkach

Mirosław Derecki

W SAMYM sercu Moskwy, u wejścia z Placu Rewolucji na Plac Czerwony wznosi się rozległy, dwupiętrowy secesyjny gmach z czerwonej cegły. Został zbudowany w 1892 r. według projektu architekta Dymitra Cziczagowa i przed Rewolucją stanowił siedzibę moskiewskiej Dumy Miejskiej, a w 1917 r., bronili się tutaj przeciwnicy nowej władzy. Każdy obywatel Związku Radzieckiego zna jednak ten budynek przede wszystkim z uwagi na fakt, że od 1937 r. mieści się w jego murach Centralne Muzeum Lenina. W 34 salach rozmieszczono ponad dwanaście i pół tysiąca eksponatów: dokumentów, fotografii, obrazów, książek, mebli, przedmiotów osobistego użytku, związanych z życiem i działalnością Włodzimierza Lenina. W jednej z sal na pierwszym piętrze odtworzono nawet w najdrobniejszych szczegółach kremlowski gabinet Lenina.

Gabinet zaskakuje zwiedzających swoją prostotą i zwyczajnością. W centrum — masywne biurko, do którego przystawiono pod kątem prostym długi konferencyjny stół przykryty ciemnowiśniową narzutą z frędzlami. Na biurku elektryczna lampa stojąca z zielonym szklanym abażurem, przybory do pisania, dwa świeczniki. To — na wypadek gdyby zgasło nagle światło. W tamtych czasach awarie elektryczności nie należały do rzadkości. Przy stole konferencyjnym stoją cztery głębokie, klubowe fotele obite skórą. W głębi za biurkiem — sięgająca sufitu oszklona szafa biblioteczna: podręczny księgozbiór Lenina. Na lewo, w kącie gabinetu, wysoki kaflowy piec, na którym przyklejono mapę Związku Radzieckiego. Nad nią — wydrukowany dużymi literami na kartonie napis: „Nie kurit" (Nie palić!). Map jest zresztą dużo. Wiszą przypięte lub po prostu przyklejone do ścian. Pracowano tutaj dzień i noc, pospiesznie i w wielkim napięciu, jak tego wymagała potrzeba chwili. Ale też wyczuwa się w ogólnej atmosferze tego pomieszczenia coś rodzinnego, domowego, ciepłego...

W salce obok eksponowano samochód, którym Lenin często jeździł: olbrzymi, imponujący Rolls-Royce, kabriolet, znany dobrze z historycznych zdjęć. Może to właśnie tym samochodem pojechał Lenin po raz pierwszy do Gorek?

•

Pierwszy raz przyjechał Lenin do Gorek 25 września 1918 r. dla rekonwalescencji po ciężkim ranieniu, którego doznał podczas zamachu na jego życie. Towarzyszyła mu Nadieżda Krupska, siostra Maria i inne osoby. Gorki nadawały się doskonale na wypoczynek. Leżały w rejonie tak zwanego Podmoskwia, 35 kilometrów na południowy zachód od stolicy, łatwo więc było o stały kontakt z Kremlem; w dawnym majątku znajdował się telefon, była elektryczność. Klimat miały Gorki łagodny, świetny dla ozdrowieńców, wkoło rozciągała się piękna okolica. Lenin nazywał później często tę miejscowość „małą Szwajcarią". Lubił chodzić na długie spacery, a nawet polował w tutejszych lasach.

Zachowała się notatka Lenina z końca września 1918 r. z uwagami w jaki sposób dojechać z Moskwy do Gorek:

„Sierpuchowską szosą około 20—30 wiorst. Minąwszy most kolejowy a następnie drugi, nie kolejowy most, przez który biegnie szosa, skręcić w pierwszą w lewo (także szosa, ale niewielka, wąska) i dojechać do wsi Gorki..."

Do dzisiaj ta notatka nie straciła na aktualności. Do Gorek jedzie się autokarem z centrum Moskwy około czterdziestu minut. Oczywiście — doskonałą asfaltową szosą i mijając ciągnące się długo nowe osiedla mieszkaniowe. Ale w pewnym momencie budynki kończą się, szosa wpada w zieleń pól, przebija się przez gęstwinę brzozowych lasów, Moskwa pozostaje daleko w tyle. Jeszcze trochę i oto pokazują się drewniane, przysadziste i rozłożyste, malowane olejną farbą „rosyjskie" domy, zdobne w wycinane w deskach folklorystyczne motywy. To wieś Gorki Leninowskie. W dali na prawo, widać wśród łąk kratownicę mostu kolejowego, na lewo odchodzi od szosy wąska droga biegnąca ku kępie zieleni porastającej wznoszący się w górę teren. Zza drzew prześwitują białe budynki: Muzeum Lenina w Gorkach.

•

Najpierw idzie się długą aleją wysadzoną klonami i wiązami. Kiedy zwiedzałem Gorki — wraz z grupą hiszpańskich filmowców przybyłych na moskiewski festiwal filmowy ze znanym reżyserem Juanem Antonio Bardemem na czele — miało się już ku jesieni, na trawie leżały pierwsze zżółkłe liście, pachniały mocno brzozy, na klombach czerwieniły się dalie i szałwie. Obok alei biegła wąska, wysypana piaskiem dróżka. Tą dróżką niesiono w styczniu 1924 roku trumnę ze zwłokami Lenina.

Bardem zatrzymał się na niewielkim placyku u wejścia do muzeum i przyglądał się granitowej rzeźbie Merkurowa „Pogrzeb wodza": w różowym kamieniu artysta wykuł postaci ośmiu ludzi niosących ciało Lenina. Ku ziemi spływają miękko kamienne fałdy materii, w którą spowity jest wódz Rewolucji.

Naokoło szaleli fotoreporterzy strzelając migawkami; górowała nad nimi siwa czupryna Bardema, stał przez długą chwilę nieruchomo, zamyślony.

•

Lenin początkowo zamieszkał w północnym skrzydle pałacu, niewielkim piętrowym budyneczku. Uważał, że tam mu będzie najwygodniej; dużych pomieszczeń nie lubił, chciał się czuć „jak u siebie w domu". Zamieszkał zresztą „rodzinnie", z Nadieżdą Krupską i siostrą Marią, zwaną ciepło Maniaszą. Często gościła też w Gorkach druga siostra Lenina, Anna — najbardziej wykształcona ze wszystkich sióstr Uljanowych, znająca biegle kilka języków, oraz brat Dymitr.

Lenin spędzał w Gorkach wolne od pracy dni, tutaj przyjeżdżał na rekonwalescencję po kolejnych atakach choroby. Pisząc o dniach „wolnych od pracy" myślę o okresach, gdy nie zajmował się bezpośrednio pracami państwowymi w stolicy kraju. Bo pracował bezustannie: czytał, robił notatki, pisał artykuły i książki, a za pośrednictwem telefonu był w stałym kontakcie z Moskwą. M.in. w Gorkach powstały „Rewolucja proletariacka i renegat Kautsky" i „Dziecięca choroba «lewicowości» w komunizmie". Tylko w ciągu 3 miesięcy pobytu Lenina w Gorkach w 1922 r. nadesłano mu tutaj 1028 tytułów dzieł z zakresu literatury politycznej, ekonomicznej, naukowej. „Pracował do ostatecznych granic ludzkiej możliwości" — pisała później o Leninie jego sekretarka L. A. Fotijewa.

W 1919 r. z inicjatywy Lenina został w Gorkach utworzony sowchoz. Włodzimierz Uljanow snuł plany rozwinięcia go we wzorcowe gospodarstwo rolne.

Prosto z wąskich schodów wiodących z dolnego pomieszczenia oficyny na piętro wchodzi się do malutkiego pokoiku. Na lewo, obok okna wąskie łóżko, na prawo — biureczko-toaletka z lustrem. Na tym właśnie biureczku Lenin napisał szereg swoich prac. Obok jest większa komnatka; zajmowała ją Nadieżda Krupska. Wśród książek stojących na półce są także tomiki poezji Adama Mickiewicza.

Z pokoju Krupskiej przechodzi się do stołowego. Odbywały się tam narady w sprawach najwyższej wagi państwowej; za stołem siadywali nieraz Kalinin, Dzierżyński, Gorki. Gościli też tutaj Romain Rolland, Martin Andersen Nexö i Henri Barbusse. Za stołowym jest jeszcze jeden niewielki pokój, gdzie sypiała siostra Lenina, Maria.

Do centralnej części pałacu Lenin przeniósł się dopiero w 1921 r., na wyraźne zalecenie lekarzy, którzy chcieli zapewnić mu jak najlepsze warunki zdrowotne.

•

Ze wschodniego westybulu „wielkiego domu" przechodzi się najpierw do biblioteki. Zawiera ona ponad 3 tysiące książek z dziedziny filozofii, ekonomii politycznej, historii powszechnej, historii międzynarodowego ruchu komunistycznego oraz wiele czasopism. Codziennie przychodziło do Gorek ponad 30 gazet rosyjskich i zagranicznych, które Lenin przeglądał. Opanował metodę szybkiego czytania: od razu całymi wielkimi fragmentami tekstu. 12 lipca 1922 r., po wyjściu z kolejnego ataku choroby, pisał do sekretarki Fotijewej do Moskwy:

„Lidio Aleksandrowna! Może mi Pani pogratulować powrotu do zdrowia. Czego dowodem moje pismo, które znowu zaczyna być podobne do ludzkiego. Niech Pani będzie gotowa do zaopatrzenia mnie w książki (i do przysłania mi ich spisu). 1) nauka 2) literatura piękna 3) polityka (te ostatnie mogą być przysłane najpóźniej, ponieważ nie pozwalają mi jeszcze ich czytać)... Pozdrowienia, Lenin".

A oto inna notatka, z końca września 1922 r. Lenin czuł się doskonale i wybierał się do Moskwy. Przed wyjazdem wysłał z Gorek na Kreml krótkie pismo:

„Przyjadę 1 albo 2 października. We wtorek, 3 października będę przewodniczył. Posiedzenie — od 17.00 do 21.00, z piętnastominutową przerwą. Proszę uprzedzić palaczy: palenie wzbronione. Absolutnie. Herbata i papieros — w czasie przerwy (w sąsiedniej sali). Materiały związane z całym porządkiem dziennym mają być dla mnie przygotowane we wtorek rano".

Najłatwiej oczywiście było kontaktować się z Moskwą przy pomocy telefonu. W jednym z pomieszczeń na parterze był zainstalowany aparat Ericssona. Niestety, nie zawsze spisywał się jak należy, a to niezwykle irytowało Lenina. Pisał po jednej z takich awarii do Ludowego Komisarza Poczt i Telegrafów, Dowgalewskiego:

„Towarzyszu Dowgalewski! Raz jeszcze muszę prosić o zwrócenie przez Was szczególnie bacznej uwagi na fakt fatalnego działania mojego telefonu we wsi Gorki. Dzisiaj, w sobotę z 7-go na 8-go, słyszalność między Charkowem a Moskwą jest — jak mi powiedziano — doskonała. A tutaj, u mnie...: mnie nie słychać (ja — słyszę Moskwę) a rozmowa jest przerywana dziesiątki razy. (...) Kiedy (wreszcie) będziemy mogli mieć linię telefoniczną długości 30 czy 40 wiorst równie sprawną jak te :do Piotrogrodu i Charkowa — po 600 i 750 wiorst?!".

Jadalnia mieściła się w „wielkim domu" na pierwszym piętrze, obok był obszerny gabinet z dużym oknem wychodzącym na park, dalej pokój o dwóch oknach, cały utrzymany w tonacji biało-złotej: sypialnia Lenina. Na parterze, w obszernym salonie, urządzono „salę kinową" — Lenin był wielkim miłośnikiem owej „najważniejszej ze sztuk", jak to powiedział kiedyś do Anatolija Łunaczarskiego, chętnie oglądał filmy. Przede wszystkim dokumentalne, bo pierwsze radzieckie „fabuły" raczej go irytowały. Dopiero Eisensteinowski „Pancernik Potiomkin" miał w 1925 roku otworzyć złotą erę radzieckiego kina. Ale wtedy Lenin już nie żył.

•

Na początku marca 1923 r. stan zdrowia Lenina uległ znacznemu pogorszeniu; 15 maja wyjechał z Moskwy do Gorek i pozostał już tam do śmierci.

Stało się to 21 stycznia 1924 roku. Umarł w swojej sypialni, o godzinie 18.50. Na tej godzinie zatrzymano na zawsze zegar stojący w sypialni Lenina, pozostawiono w gabinecie ścienny kalendarz z niezerwaną kartką.

Anatolij Łunaczarski we wspomnieniu o pogrzebie Lenina — (opublikowanym po raz pierwszy w 1971 r. przyp. M. D.) — daje obraz swojej drogi do Gorek w dniu 22 stycznia 1924 r.:

„Dowiedziałem się o śmierci Włodzimierza Iljicza z dużym opóźnieniem. Przyjechałem do Teatru Wielkiego tuż po jedenastej i ze zdumieniem stwierdziłem, że naprzeciw mnie po schodach w dół ruszył wielki tłum towarzyszy. Wszyscy byli bardzo zmartwieni, a niektórzy płakali. [...] Podszedłem do towarzyszki Lepieszyńskiej, która miała oczy pełne łez, i zapytałem ją, co się stało. Od niej właśnie dowiedziałem się, że Włodzimierz Iljicz zmarł poprzedniego dnia wieczorem. Byłem tak wstrząśnięty tą wiadomością, że poszedłem do domu i nie wiedziałem, co właściwie mam robić, ponieważ w pierwszej chwili ogarnęła mnie jakaś swoista apatia. Tymczasem okazało się, że szukano mnie w Komisariacie Ludowym i na Kremlu. [...]

Towarzysze zaproponowali mi, abym przyjechał wieczorem na Dworzec Pawelecki i wraz z nimi spędził noc przy trumnie nauczyciela i odprowadził jego ciało do Moskwy. [...] Pociąg specjalny ostatecznie wyruszył o jedenastej i jechał pół godziny. [...] Poza delegacją Komitetu Centralnego Partii, której byłem członkiem, była jeszcze delegacja moskiewskiej organizacji partyjnej, delegacja WCRZZ, wszyscy obecni w Moskwie członkowie CKK oraz delegacje obu Zjazdów Rad, łącznie około 40, jeśli nawet nie 50 osób. Byli też komisarze ludowi, którzy przyjechali z własnej inicjatywy, w wśród nich towarzysz Krasin. Na stację (w Gorkach) wysłano trzy lub cztery podwody, na które mogło się zebrać jakieś 16 osób. Licząc na własne siły poszedłem wraz z większością ludzi pieszo. [...]

Noc była mroźna, ale bezwietrzna. [...] Świecił niezwykle jasny księżyc, tak że cała ogromna równina, jak daleko okiem sięgnąć, wyglądała niczym srebrnoblękitne płótno. Droga była wąska i ujeżdżona. Kilka razy spotkałem chłopów, którzy poszerzali i ubijali ją, aby następnego dnia można było bez przeszkód przenieść trumnę. Gdy ich minąłem, długo jeszcze rozlegał się za mną zgrzyt łopat i toczone półgłosem, niczym w cerkwi, rozmowy pracujących ludzi. Szedłem tak sam wśród ogromnego pola, pod spokojnym, zimnym księżycem i mogłem dobrze sobie przypomnieć wszystko, wszystko przemyśleć i jakoś przystosować się do ogromnego nieszczęścia, które na nas spadło. [...] Szerokimi schodami wszedłem do wnętrza domu".

Następnego ranka, kilka minut po godzinie dziewiątej wyruszył z Gorek kondukt pogrzebowy. Niesiono trumnę najpierw aleją parkową, później szosą, ku stacji. Panował 30-stopniowy mróz.

Pociągiem specjalnym przewieziono trumnę na Dworzec Pawelecki w Moskwie. 23 stycznia została ona wystawiona w Sali Kolumnowej Domu Związków Zawodowych.

27 stycznia 1924 r. o godzinie 16.00 rozpoczął się pogrzeb Lenina. Jego zwłoki złożono w mauzoleum na Placu Czerwonym...

•

Wróćmy jeszcze na chwilę do Gorek. W sypialni leżą na stoliku dwie książki, które czytał w ostatnich dniach: „Moje uniwersytety" Maksyma Gorkiego i „Miłość życia" Jacka Londona.

Henryk Makarski

WIELKI DRAMAT NIEWIELKIEGO POETY

(Dramat w jednym akcie, opowiadany na scenie podwórka. Osoby anonimowe, bez cech szczególnych; narrator o ciepłym głosie i 3 mężczyzn. Scenografia przypadkowa, sceneria także. Muzyka bojowa, z małymi przerwami na papierosa. Kostiumy współczesne, maseczki na twarz pożądane).

NARRATOR:

— Na czwartym piętrze najwyższego domu
mieszka poeta: szary zwykły człowiek
z głową w obłokach, urzędniczą pensją,
dwojgiem maleńkich dzieci, świętą żoną
(żony poetów są za życia święte),
cieknącym kranem i wzruszeniem w dłoniach,
rozkwitającym brudnymi płatkami mydlanych baniek,
pryskających co dnia, jak sen na jawie, jak mokra pochodnia.

Miękkie wzruszenie nie znaczy „bezradność".
Poeta pierze, karmi i przewija,
a kiedy zegar-stary kapral czasu
(odziedziczony po dziadku ułanie)
dwanaście razy trzaśnie obcasami
wąsy wskazówek na baczność postawi
witając północ, gdy pogasną głosy
i gdy pośpiechu niestrudzony ogier
zaśnie, gdy radość smutek i nienawiść,
miłość i troska ucichną znużone
w czterech kątach domostwa, w czterech świata stronach,
gdy za oknem pokoju biała flaga pieluch,
kapitulacji milcząca pokora,
staje się żaglem okrętu poezji —
szary poeta wychodzi na balkon,
oddycha szerzej, ciemnym wiatrom wierzy,
zagląda w oczy zabłąkanym gwiazdom,
wypływa w bezmiar świeżej wyobraźni
szczerze zdumionej jak spojrzenie dziecka
rozbudzonego po koszmarnym śnie.
Poeta dzieckiem bywa, dużym dzieckiem, kiedy pisze wiersz.
Pisanie wiersza — nocne żeglowanie.
Niewiele słychać, widać jeszcze mniej,
Szary poeta drogę zna na pamięć,
serce w nim rośnie, busola sumienia drga i nabrzmiewa,
czerwień wchłania czerń.
Już nie poeta, a potężny żeglarz
w latającym balkonie świat ogląda samotnie,
frunąc ponad światłami pustyni;
między chmurami sadzy płynie płynie i marzy
aż dopłynął do dziwnej krainy,
brama z tęczy stubarwnej — napis „OAZA PRAWDY",
łany maków falują czerwienią,
pośród krwistych plantacji tętni plac udeptany
jak przed bitwą — potyczką tajemną.
Na klepisku wzniesiony stos makówek ogromnych
jak arbuzy lub dynie armatnie,
a przed stosem na klęczkach kilku mężczyzn uciera
mak w donicach gwałtownie spękanych,
Ni to misy ni garnki — jakby czerep rubaszny,
pół makówki rozbitej przed każdym,
milion sennych ziarenek szumi w pustym czerepie,
milion myśli i słów bliskich prawdy.
Kto w tej dziwnej makutrze wszystkie ziarna tak utrze,
że makówki wrzeć będą olejem,
ten w nagrodę otrzyma najpiękniejszą maksymę,
klucz do skarbca najskrytszych nadziei.
Jeden wszakże warunek spełnić trzeba: niech struny
głosów męskich drżą prawdą najszczerszą,
prawdę — prawdę jedynie — prawdę można powiedzieć
w tej oazie ogrodzonej tęczą.
Twarze mężczyzn już płoną kolorową pochodnią,
teraz maski już żaden nie włoży.
Wieszcza cień nad klepiskiem, obok radio tranzystor,
Mak usypia — lecz budzi rozmowy

MĘŻCZYZNA I:

— Tyle maku! Tyle maku! Kiedyż zeń pocieknie olej?
By nie usnąć, posłuchajcie starą bajkę wam opowiem.
Bajka ta — to prawda wielka zwana dzisiaj romantyzmem.
Komu prawdy nie potrzeba, niechaj brodzi przez pustynię.
Niechaj przez pustynię brodzi, kto się prawdy słuchać boi.
Kto nie patrzy ludziom w oczy, kto przed bóstwem bije czołem,
wierćcie mak i posłuchajcie — żywą bajkę wam opowiem:
„Ciemno wszędzie, gwarno wszędzie, sto neonów wygaszonych,
sto języków przemęczonych, a na cztery świata strony
sto kogutów tłustych pędzi, „sto lat sto lat" piejąc dzielnie
pieśń o kurze, co na grzędę jeszcze wyższą wlazła wreszcie,
złotych jaj nie zapomniała, ni gdakania pochwalnego.
Gładkie strofy kura gdacze, kogut na okrągło pieje,
postępują zaś inaczej — tak na co dzień — nie odświętnie.
Oto plon współczesnych marzeń: mądre zwierzę o dwóch twarzach,
Sto kogutów tłustych pędzi ciemną drogą w polskich fiatach,
a za nimi kurze pierze jak dziękczynne uwielbienie
hymnem w puste niebo wzlata chmurą słów niewymówionych...

MĘŻCZYZNA II:

— Zejdźmyż z drogi, bo pierze jeno z nas zostanie.
Twarze walec opony sprasuje z asfaltem.
Dwie bezimienne plamy przybędą w rejestrach
istot uniwersalnych, które wiatr anonim
zapisuje w kominach najbrudniejszych fabryk.
A czym człowiek bez twarzy — niemym plastrem błota,
pustą ramą w złoceniach — śmietnikiem bez dna.

MĘŻCZYZNA III:

— Głowa do góry, panie bracie,
bo jeśli racja jest po naszej stronie
to cieniem prawdy racja jest i każdy brat nam rację przyzna
myślą, uczynkiem, jasnym słowem.
Więc środkiem drogi trzeba iść
jak sztandar w dłoniach dzierżąc głowę.

MĘŻCZYZNA II:

— Dekoracje-oracje-racje nasze wzniosłe
święte krowy — jelenie wiecznie odkurzane,
stuletnie mowy butne, stokroć nicowane,
gdy wiatr gniewu zawieje, pomniki przewraca.
Co krok to święta racja — co krok to oracja,
każdy orłem walecznym a nikt zwykłym osłem.
Przerwa na papierosa, rozmowa, rozmowa,
płyną lata i płyną słowa, słowa, słowa.
Dziecko tonie w przerębli — ani drgnie tłum gapiów,
drgnęły tylko języki — rozgorzały spory,
kto ma pierwszy krok zrobić, kto zdrowy, kto chory.
„Hej ratować ratować!" — szemrzą zgodnym chórem
stojąc z bronią u nogi — przedmurzem i murem.

MĘŻCZYZNA III:

— Nawet na najpiękniejszym drzewie
skryje się zgniłe jabłko między liśćmi,
ale zgnilizny jest niewiele i smak podkreśla tego, co najlepsze.
Wierzę w miliony, miliony, miliony
rąk wyciągniętych w geście budowania
i nawet jak wyfrunie zgniłe słowo
patrzę na dłonie gęsto zapisane
mową odcisków — to czytelny podpis
dłoń robotnika — najmądrzejsza z książek
a tytuł jej brzmi „święty obowiązek".

MĘŻCZYZNA II:

— Świąt u nas nie ma, nie lubim świętości.
Dzień się za dniem ociera szorstką szarzyzną pośpiechu.
A jeśli już niedziela to tylko, by łzę uzbroić.
Kroplę potu przemienić w kroplę cierpliwości
i smak piołunu uśpić za rodzinnym stołem,
obiadem sutym tłumić rwącej krwi gołoledź,
język bigosem związać, by nie frunął wyżej
niż sufit domu pozwala — drogowskaz we mgle.
Świąt u nas nie ma — to fałszywe słowo.
„Świętość" brzmi tak nieszczerze, jak zgrzyt skarbonki o czoło,
jak brzęk wdowiego grosza o tacę kościelną.
W pokornym skłonie kolan przed wielkim złudzeniem
szepczą „świętość, ach świętość!" Widzę obojętność.
Dla świętego spokoju przyznam świętą rację
i tyle ze świętości jeno pozostało.
„Święto" to słowo stęchłe — cuchnie czarnym fałszem,
który łaskocze w pięty tkaniny obłudą.
Zamiast wielkiego „święta" niechaj będzie „radość"
z czynów wielkich — największych — nie „wczoraj" a — „jutro".

MĘŻCZYZNA III:

— A pan nie szargaj rzeczy wzniosłych,
są jednak u nas święta takie,
że cichną kontuszowe spory i Polak wie, że jest Polakiem.
Gdy maj rozmai się czerwienią i lipiec lipy słońcem zrosi,
albo gdy rzecz listopadowa — albo gdy konkurs szopenowski...

MĘŻCZYZNA II:

— Tak! Tak po stokroć! Są dwa takie święta,
kiedy się obżeramy ponad wszelką miarę,
kura po jajach płacze, a las po choinkach
zamordowanych skrycie za dwadzieścia złotych

w lasach niczyich, bo rzeczpospolitych.
Taka świadomość drzemie w niektórych umysłach
przeciętnie patriotycznych, ni głodnych, ni sytych.
Przeciętność nas pożera jak sarmackie konie,
ta nijakość beztroska, zaklęta w ogonie
bezpańskiego lenistwa, którym oganiamy
czoła swe przed niemiłej prawdy komarami.
Płachtą snu zasłaniamy zmęczone zegary,
wpatrzeni w telewizor świętujemy — jemy
zapasy kolejek owych najświętszych sklepowych...
Znam ci ja badylarza, co nie czyta gazet,
a w świątecznej kolejce przed kioskiem wystaje,
kiedy kiełbasę wreszcie i wódę zgromadzi.
Brzuch napełniamy strawą — zaczynamy radzić:
— jak żyć by nie wadzić, ale i nie kadzić;
— jak wilki owcą sycić, by jej nie połknęły;
— jak po rękach całować, by nie zginać karku.
Wiele jest takich pytań w świątecznym jarmarku.

MĘŻCZYZNA III:

— Bracie Polaku — po cóż ta zgryźliwość,
toć umysł jeszcze sklerozą nie zżarty.
Dziadek pół życia strawił w wojsku carskim,
ojciec dziedzica po rękach całował,
a ty sumieniu swemu tylko służysz,
sam sobie będąc wskazówką i tarczą.
Wczoraj w gazetach porannych czytałem,
że w hucie Katowice pierwszy wytop stali,
a w rafinerii płockiej coraz więcej
paliwa kwitnie — umysły rozgrzewa.
Po cóż tedy narzekać — kiedy trzeba śpiewać?

MĘŻCZYZNA II:

— To nie zgryźliwość bracie, ale pełne brzmienie
głosu, który przez lata długie grzązł mi w krtani.
Tak, to prawda, artystów mamy wielkich — ci są w stanie
zbudować gmach pod chmury z pełnym oświetleniem.
Zadziwić głośnym zrywem ułańskiej fantazji.
Nie spać, nie jeść i nie pić — żywiąc się rekordem.
A potem, szarą chwilą — wymknąć się w opłotki,
podeprzeć budkę z piwem i na ławce zasnąć,
łezkę uronić nawet, gdy Mazurka grają,
a po kryjomu worki z cukrem do dom targać,
gdy herbata zgorzknieje jak bolesna prawda.
Ostro, ostrożnie brać się do zwykłej roboty,
czołganiem-łganiem mijać zakręty historii.
Kołatać-łatać wszystko, co się kiedyś przyda.
Kłamać-łamać poprzeczkę, którą przebrnąć trzeba.
Klękać-lękać się jutra, spać w błotnistych butach,
gdy już knuta-uknuta filozofia knuta,
lakierować-kierować słowa tam, gdzie trzeba,
koczujący-czujący kwaśny zapach chleba.
Uchwalić-walić prawdę zawsze między oczy,
martwieje-wieje zając, gdy go wilk zaskoczy.
Oto kolekcja-lekcja historii kolejna
Słowo stało się ciałem, ożyły marzenia
To nie zgryźliwość, bracie, ale pełne brzmienie
głosu, który przez lata długie grzązł mi w krtani.

MĘŻCZYZNA III:

— Pokaż bracie, Polaku, ileś utarł już maku!
Czy z makowych słów twoich — czynów płynie olej?
Bo cóż rośnie z gadania, które tylko usypia
lub kuranty wydzwania w zapomnianych kaplicach?

MĘŻCZYZNA II:

— Słowo czynem się stanie, gdy na ziemię upadnie,
gdy przemiesza się z piachem, przejdzie ziemi zapachem,
gdy zachłyśnie się potem i uzbroi w pokorę,
gdy się milczeć nauczy już na pomnik nie wróci,
zakorzeni się trawą zakurzoną zdeptaną,
ale żywą, upartą, w radość słońca bogatą.

MĘŻCZYZNA I:

— Milczę, słucham i podziwiam — olej w misach już bulgocze
a ja bajki nie skończyłem, więc pozwólcie, że ją skończę:
„Sto kogutów tłustych wraca-pokorniejąc z każdą chwilą,
pióra na nich potargane i pazury połamane.
Już z kurami pobratani idą zgodnie ramię w ramię,
Cicho snuta pieśń o pracy z każdą chwilą potężnieje.
Ze wszech świata stron lawina dłoni w jedno miejsce spływa,
Sto kogutów tłustych śpiewa, echem wraca słów bumerang.
Tłuszcz wycieka razem z potem i użyźnia twardą ziemię,
z ziemi szklany dom wyrasta o milionach jasnych okien.
Dom-drogowskaz wiecznie trwały-na rozstajnych rośnie drogach,
ruch wskazując w jedną stronę — tak na opak, a serdecznie.
Bo do środka wszystkie ścieżki, wszelkie przejścia wydeptane.
W samym sercu dróg rozstajnych dom rodzinny co dnia wstaje,
dom trzydziestu czterech milionów — pomnik trudu
zwyczajnego.
Bochen chleba z polskiej mąki, w której rąk skrwawionych
treść,
kaleczonych językami ostów-skrytych w głębi zboża.
Oto nasza wspólna świętość — oto sprawa — oto sens,
oto bajka najprawdziwsza, oto racja najuczciwsza —
oto najdzielniejsza krew"

MĘŻCZYZNA III:

— Ziarnka maku — słowa proste jak stwardniałe łzy obronne
już stłamszone — już zmiażdżone — już z makówek kapie olej,
a na dłoniach białe bąble nabrzmiewają mgłą czerwoną.

MĘŻCZYZNA II:

— Czy u wszystkich? Nie wiadomo.
Czasem puchnie tylko język,
a chociażby dłoń się zmęczy
i zapłaczą linie życia wilgotniejąc na żądanie.
Czasem prawda tkwi w prawicach
tak obrzękłych od klaskania, jak od pracy ponad siły.
Więc popatrzmy, czy w czerepach już mądrości olej kipi,
bo maksyma najpiękniejsza nam zostanie objawiona,
klucz do skarbca obiecany.

MĘŻCZYZNA I:

— Patrzcie — patrzcie — oto ona! Na tęczowej bramie napis,
szary cień jak popiół skruchy, niewidoczny, rozmazany,
wyniszczony zawieruchą wiatrów złudnej koniunktury,
słów wyplutych wraz z zębami,
gdy fałszywym tonem zabrzmią w chórze innych słów
wyblakłych,
gdy nie zgodzą się z tonacją i wyfrunąć zechcą dalej
pod prąd płynąć grzbietem fali.
Czasem wiatry nurt zawrócą i wymiotą zgniłe próchno,
z dna koryta — stare pniaki wykarczują młodzi drwale.
W najjaśniejszy z dni słonecznych ruszy regulacja rzeki,
zwana wiecznym przemijaniem.
Biec pod górę pocznie rzeka — nowy już kierunek znaczą
w drogowskazach zapisany.
„Ulec-czekać-czy uciekać" — spyta kret witając światło,
coraz głośniej ssące pamięć.
Patrzcie! Oto ta maksyma-szara na tęczowej bramie!
Napis cichy kurz porasta.
Kto przeczyta?

CHÓR MĘŻCZYZN:

— Praca! Praca!

MĘŻCZYZNA I:

— Tylko tyle?

CHÓR MĘŻCZYZN:

— Tak — nic więcej

MĘŻCZYZNA II:

— Czy to mało?

Rys. Jacek Urbański

CHÓR MĘŻCZYZN:

— Bardzo wiele!

MĘŻCZYZNA III:

— Razem — młodzi przyjaciele!

NARRATOR:

— Na czwartym piętrze najwyższego domu
mieszka poeta, młody skromny człowiek,
zwykły urzędnik, krótko ostrzyżony,
gdy sieć zakupów wytrząsa na stole
złotej rybki radości szukając uparcie.
W noc każdą siodła rumaka balkonu,
kosmiczny pojazd poetyckich marzeń,
co noc żegluje ku oazie prawdy,
czas utracony próbuje dogonić.
A kiedy iskra brzasku zapali i nocy braknie na szukanie siebie,
młody poeta goli się w łazience,
spodnie prasuje i do biura biegnie,
z ludźmi rozmawia — kolej rzeczy chwali,
w domu pierze pieluchy, w nocy pisze wiersze,
dzieci do snu układa, pisze, i tak dalej...

NOTATNIK MUZYCZNY

Stefan Münch

UWAŻNI czytelnicy *Notatnika*, a zarazem pilni słuchacze koncertów zauważyli z pewnością, że refleksje poczynione przeze mnie na temat muzycznych wydarzeń października nie były omówieniem pełnym. Winę za ten stan rzeczy ponosi wyłącznie Filharmonia, która miast zająć się w spokoju przygotowaniami do grudniowego jubileuszu swojego 35-lecia, weszła w nowy sezon z niebywałym rozmachem — tak pod względem liczby koncertów, jak też ich programowego i wykonawczego poziomu. Sytuacja zmusza więc do selekcji.

Na szczególną uwagę zasługuje, moim zdaniem, pięć wydarzeń listopadowo-grudniowego kalendarza koncertowego. Oto one w porządku chronologicznym: pokaz wirtuozowskiego kunsztu akordeonisty Vladimira Čuchrana, schubertowsko-prokofiewowski recital Światosława Richtera, *Symfonia Pieśni Żałosnych* Henryka Mikołaja Góreckiego ze Stefanią Woytowicz, koncert lubelskich kameralistów i znakomita estradowa wersja *Strasznego dworu*.

Vladimir Čuchan należy, jak zdołałem się zorientować, do ścisłej czołówki europejskich akordeonistów; jest laureatem kilku międzynarodowych konkursów, dużo koncertuje i nieustannie poszerza zakres literatury na swój instrument. Program, jaki przedstawił, składał się przede wszystkim z utworów współczesnych. Tu na czoło wysuwał się bez wątpienia *Koncert na akordeon i orkiestrę* Jindřicha Felda, będący właściwie rodzajem koncertu na orkiestrę, tak skomplikowana i trudna jest jego faktura (brawa dla dyrygenta Ryszarda Komorowskiego). Wirtuozowska technika i niezwykła muzykalność Čuchrana spowodowały, że ten niełatwy w słuchaniu utwór wzbudził wielkie zainteresowanie. Solistę podziwiałem również w *Sonacie F-dur* Genadija Banaszczykowa oraz w pełnej wdzięku i ludyczności *Suicie choreica*, zestawionej z XVI- i XVII-wiecznych zabytków przez Josefa Podprocký'ego.

Światosław Richter zaprezentował przed czterema laty w Lublinie recital beethovenowski, a w nim rewelacyjną syntezę klasycyzmu i romantyzmu we wczesnych sonatach bońskiego mistrza. Tym razem wysłuchaliśmy w pierwszej części wieczoru *Sonaty C-dur* (nr 840 u Deutscha) Schuberta. Gdyby pokusić się o wyznaczenie punktu, w którym zachodzi integracja formy i wyrazu, to w przypadku tego utworu znajdowałby się on na poziomie „klasycyzmu" ze skłonnością do monumentalizacji (zwłaszcza w *Andante*). Jest to oczywiście właściwość stylu Richtera — pianistyka twarda, mocna, o silnych wewnętrznych kontrastach. Tam, gdzie Richter może wydać się nawet odrobinę oschły, Brendel będzie wyśpiewywał (vide nagranie *Philipsa*). Genialne były natomiast *morceaux* Prokofiewa, zwłaszcza *Mimoletnosti* i oba walce: *op. 32 nr 4* oraz *op. 102*. Przyznam się, że kompozytor ten nie zaliczał się nigdy do moich faworytów. Tymczasem precyzyjnie konstruowane plany dźwiękowe, niesłychana „giętkość" frazy, zaskakujące pomysły w zakresie akcentacji, magiczne wręcz oddziaływanie muzyki sprawiły, że słuchało się tego w niezwykłym napięciu. Tak się złożyło, że w kilka dni później miałem okazję posłuchać gry samego kompozytora, utrwalonej na pianolowych wałkach *Duo-Art*: oczarowanie gdzieś prysło, ustępując miejsca refleksji, że nie są to absolutne szczyty ludzkiego geniuszu...

Jeszcze jeden dowód na to, że interpretacja Richtera była naprawdę wspaniała.

III Symfonia Henryka Mikołaja Góreckiego, zwana *Symfonią Pieśni Żałosnych*, powstała przed trzema laty. Budzi ona wciąż sporo kontrowersji zarówno wśród profesjonalistów, jak i melomanów. Próbując określić cechy idiomu tej muzyki zauważamy natychmiast, że w stosunku do utworów wcześniejszych (np. *Canticum graduum*) Górecki znacznie ograniczył zasób stosowanych środków brzmieniowych, weliminował choćby klaster (tak typowy dla agresywnego sonoryzmu), przywracając ważność i wartość dźwięku o ustalonej wysokości — podążył zatem w stronę efektów neotonalnych. W *III Symfonii* zachodzi nieczęsty, jak sądzę, przypadek takiej relacji między tekstem słownym a materią muzyczną, gdy muzyka *sama* jest w stanie ewokować znaczenia, jakie dosłownie formułuje tekst: właściwość ta stanowi o wielkości tego utworu. Równie wielką nazwać można kreację Stefanii Woytowicz — trudno wyobrazić sobie idealniejszą wykonawczynię partii sopranowej, chyba dlatego, że estetyka i filozofia dzieła Góreckiego odpowiadają najwyraźniej właściwościom jej struktury psychicznej — zwłaszcza typowi wrażliwości. Współautorem sukcesu był bez wątpienia Marek Pijarowski (jeden z najlepszych młodych dyrygentów).

I w ten sposób doszliśmy do koncertów jubileuszowych. Zainaugurowali je lubelscy kameraliści: Trio Stroikowe (z Martą Szermińską), Kwintet Fortepianowy PFL oraz koncertmistrz skrzypiec Bohdan Giergiel (z Andrzejem Bereżyńskim). Tego ostatniego recitalu nie słyszałem, będąc w tym czacie w Warszawie na koncercie Marthy Argerich (wkrótce o nim napiszę). Trio Stroikowe zaprezentowało znane już walory: precyzję, staranną realizację faktury dzieł i dbałość o barwę dźwięku. Zainteresowania trójki muzyków w dalszym ciągu oscylują wokół muzyki współczesnej (*Trio* Antoniego Szałowskiego, *Suite pour trio d'anches* Aleksandra Tansmana — nb. czas najwyższy na monograficzny koncert tego znakomitego kompozytora), co dzieje się ze szkodą dla utworów dawniejszych, które mogliby wykonywać znakomicie — dowodem *Trio patetyczne* Michała Glinki. Sukces tej kompozycji Andrzej Mazur i Henryk Bystrzejewski zawdzięczają zresztą w dużej mierze Marcie Szermińskiej. Również bardzo korzystnie wypadł Kwintet Fortepianowy, działający już od kilkunastu lat i przeżywający częste zmiany składu (dosłownie w ostatnich dniach przed koncertem zmienił się altowiolista). Ryszard Komorowski (skrzypce I), Franciszek Falger (skrzypce II), Jerzy Wietrenko (altówka), Ryszard Łosakiewicz (wiolonczela), Mieczysław Dawidowicz (fortepian) — doświadczeni i wrażliwi muzycy — wykonali pełen późnoromantycznego piękna *Kwintet g-moll* Juliusza Zarębskiego.

Godnym ukoronowaniem uroczystości jubileuszowych Filharmonii było estradowe wykonanie *Strasznego dworu*, opery zalecającej się pięknem muzyki i patriotycznymi walorami libretta. Adam Natanek, dyrygujący orkiestrą PFL i świetnie przygotowanym chórem „Echo" zadbał o bliską ideału obsadę solistyczną (to znaczy taką, jaka mogłaby zagwarantować zagraniczny sukces *Strasznego dworu*). Alicja Świątek (Hanna), laureatka międzynarodowych konkursów m. in. w Hertogenbosch i Rio de Janeiro, posiada wyjątkowo piękny koloraturowy sopran liryczny o nieskazitelnej emisji, urzekającej barwie i wysokiej technice — jeden z naciekawszych głosów, jakie pojawiły się ostatnio na scenach polskich teatrów operowych. Brawurowa aria Hanny z IV aktu i ansamble z II i III aktu zaśpiewane finezyjnie, lekko, bez najmniejszego potknięcia, plasują p. Świątek w najściślejszej czołówce wykonawczyń tej partii. A jakąż znakomitą może być niedługo Zuzanną (*Wesele Figara*), Blondą (*Uprowadzenie z seraju*), Gildą (*Rigoletto*) czy Musettą (*Cyganeria*), o ile nie zadziała tu dobrze znana specyfika rodzimych teatrów operowych, będąca prawdziwym „młotem na talenty"... Maria Olkisz, którą pamiętamy z Mozartowskiej *Mszy c-moll*, miała do wykonania aż cztery partie (najważniejsza z nich to Jadwiga) — to również bardzo dobry głos z dużą przyszłością. Bogdan Paprocki, najsłynniejszy po wojnie Stefan, porwał raz jeszcze słuchaczy arią *Cisza dokoła*. I tu zjawia się refleksja: kto dzisiaj — przy założeniu wysokich wymagań — może zaśpiewać Stefana równie doskonale, jak czynił to Paprocki? Obawiam się, że nikt. Dla Jerzego Jadczaka (partie Miecznika i Macieja) rzeczywistym sprawdzianem była, oczywiście, aria *Kto z mych dziewek, serce której* i muszę przyznać — doceniając urodę jego głosu i wysoki naprawdę kunszt wokalny — że o ile Paprocki zrósł się z rolą Stefana, to samo uczynił z Miecznikiem Andrzej Hiolski. Jerzy Ostapiuk (Zbigniew, Skołuba) dzielnie sekundował partnerom. Chór „Echo", jak się rzekło, świetnie przygotowany (Mieczysław Mazurek), a finałowy mazur — po prostu znakomity. Filharmonicy bezbłędnie reagowali na każdy gest dyrygenta od intrady aż po finał, zarówno we fragmentach solowych (Tomasz Smogorzewski — klarnet, Ewa Szułowicz — flet, Mieczysław Dawidowicz — celesta), jak i w tutti. Gdy dodam jeszcze, iż narrację prowadził z wdziękiem i *francuską lekkością* Bogusław Kaczyński, mistrz absolutny w swojej dziedzinie, jasne się stanie, że było to wydarzenie godne jubileuszu pierwszej placówki muzycznej w Polsce Ludowej, godne święta lubelskich melomanów.

Upowszechniajmy!

Kazimierz Kopiński

W DNIACH 17—18 grudnia 1979 r. odbył się w Filharmonii Narodowej w Warszawie Kongres Upowszechniania Kultury Muzycznej, pierwsza impreza o takiej skali w historii PRL, w której uczestniczyło 700 delegatów i zaproszonych gości.

W toku dwudniowej debaty wielokrotnie podkreślano rolę i znaczenie mecenatu państwa w rozwoju autentycznych talentów, w stałym rozszerzaniu sieci instytucji i szkół muzycznych, placówek kulturalnych oraz w tworzeniu coraz lepszych warunków powszechnego uczestnictwa w kulturze.

Racjonalna polityka kulturalna państwa, talent i praca znakomitych pedagogów, kompozytorów oraz wykonawców sprawiły, że muzyka polska osiągnęła w swej historii niezwykle wysoki poziom. Zajmuje dziś czołowe miejsce w świecie, rozbrzmiewając na estradach niemal wszystkich kontynentów.

Nazwiska kompozytorów: K. Pendereckiego, W. Lutosławskiego, T. Bairda, dyrygentów: K. Korda, W. Rowickiego, J. Krenza, H. Czyża, S. Stuligrosza, J. Kasprzyka, solistów - instrumentalistów: H. Czerny-Stefańskiej, L. Grychtołówny, R. Smendzianki, P. Palecznego, K. Kulki, K. Zimermana, K. Danczowskiej, wokalistów: S. Woytowicz, T. Żylis-Gary, A. Hiolskiego, W. Ochmana znane są szeroko poza granicami naszego kraju.

Niepokojem napawa natomiast fakt, iż bardzo nikły procent Polaków korzysta z bogatego dorobku kultury muzycznej. Uczestnicy kongresu zwracali uwagę na niezadowalający poziom muzyczny naszego społeczeństwa. Przytaczano wyniki badań socjologicznych, które potwierdzają powiększającą się dysproporcję między osiągnięciami sztuki muzycznej, a możliwościami percepcyjnymi ogółu odbiorców.

Do głównych przyczyn, które wpłynęły na ten wysoce niekorzystny stan, zaliczono przede wszystkim: brak wychowania muzycznego w szkolnictwie ogólnokształcącym w pierwszym powojennym piętnastoleciu, brak fachowej kadry nauczycielskiej, brak odpowiedniego wyposażenia w instrumenty i sprzęt elektroakustyczny oraz nikłe oddziaływanie środków masowego przekazu.

Obecna sytuacja wymaga również wielu zdecydowanych zabiegów, aby już nigdy nie mówiło się o „pokoleniu głuchych". Dlatego też upowszechnianie kultury muzycznej musi stać się — poczynając od przedszkola — podstawowym działaniem wszystkich ogniw edukacji muzycznej.

Wielką rolę odegrać tu winna 10-letnia szkoła średnia. Jak wynika z opinii specjalistów, nowy program przedmiotu „muzyka" ma wiele zalet: rozwija zainteresowania i zdolności muzyczne ucznia, uczy śpiewu oraz gry na prostych instrumentach. Poważnym mankamentem jest jednak fakt, iż w klasach IX—X zabrakło miejsca dla tego przedmiotu, kiedy młodzież osiąga największą dojrzałość do pełnego uczestnictwa w kulturze muzycznej.

Niepokój budzi także sytuacja kadrowa. Wiele szkół nadal nie posiada nauczycieli wychowania muzycznego. Wprawdzie wyższe szkoły muzyczne, uniwersytety i wyższe szkoły pedagogiczne wypuszczają ponad 300 specjalistów rocznie, ale potrzeby są o wiele większe. Pocieszająca jest tu decyzja Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki o podwyższeniu limitu przyjęć na kierunki nauczycielskie tej specjalności o ok. 50 proc.

Podczas obrad wskazywano na pilną potrzebę kształcenia nauczycieli rytmiki dla przedszkoli i szkół muzycznych.

Bardzo mocno podkreślano konieczność większej współpracy szkół ogólnokształcących z filharmoniami, szkołami muzycznymi, domami kultury, stowarzyszeniami twórczymi, towarzystwami muzycznymi i ogniskami muzycznymi. Należy rozwijać akcję umuzykalniającą, która od szeregu lat zdobywa sobie powszechne uznanie.

Postulowano też rozwój sieci szkół muzycznych i ognisk muzycznych na terenie nowych województw. Poważnym jednak hamulcem jest w tym względzie niedobór podstawowych instrumentów muzycznych.

Poważne braki odczuwa się w zakresie literatury muzycznej. Brakuje przede wszystkim niezbędnych wznowień. Liczba pozycji wyczerpanych sięga 75 proc. katalogu wydawniczego. Zapowiedziany na rok bieżący dodatkowy przydział papieru (500 ton) dla Państwowego Wydawnictwa Muzycznego z pewnością zmieni tę sytuację.

Dyskutanci poświęcili wiele uwagi polskiej fonografii. Z zadowoleniem przyjęto decyzję władz państwowych o budowie nowoczesnej tłoczni płyt i studiów nagrań. Już w roku 1983 liczba czarnych krążków zwiększy się o 30 milionów rocznie. W ostatnich latach na statystycznego Polaka przypadała niespełna czwarta część płyty. Wskaźniki w innych krajach są bardziej korzystne i wielokrotnie wyższe, np. w ZSRR — sześciokrotnie, a w USA — dziesięciokrotnie.

W dobie systemu Hi-Fi polska fonografia i przemysł elektroakustyczny muszą również poprawić jakość seryjnej produkcji.

Wielu dyskutantów wskazywało na konieczność wprowadzenia płyt do wszystkich bibliotek.

Analiza działalności radia i telewizji w naszym kraju wykazała, że środki masowego przekazu mogą i powinny stać się jednym z zasadniczych ogniw upowszechniania kultury muzycznej.

Polskie radio w czterech programach nadaje 5800 godzin muzyki poważnej w ciągu roku, w tym 1500 godz. muzyki stereofonicznej. Na szczególną uwagę i uznanie zasługują transmisje i retransmisje z najpoważniejszych imprez muzycznych świata, audycje dla dzieci, młodzieży i dorosłych. „Zaczarowany klucz" i „Klub Młodych Miłośników Muzyki" J. Mackiewicz, „Wesołe przedszkole" K. Kwiatkowskiej, „Repertuar muzyczny człowieka kulturalnego" W. Rudzińskiego, „Arcydzieła muzyki dawnej", „Forum kompozytorów" — to przykładowe tematy z plejady cyklicznych i wartościowych programów.

W ostatnich latach zauważa się również korzystne zmiany w TVP. „Wtorek melomana", „Camerata", „Przeboje mistrzów" J. Cegielły, „Nie taki diabeł straszny" H. Czyża, „Z muzyką przez lata" J. Waldorffa, „Wychowanie muzyczne" (w ramach NURT-u) „Wielcy dyrygenci" — są tego przekonywającym dowodem. Tygodniowo nadaje się jednak tego rodzaju muzyki zaledwie półtorej godziny w I programie i trzy i pół godziny w II. Jest to ogromnie mało w porównaniu z czasem, jaki przeznacza się dla tzw. muzyki masowej, nierzadko o wartościach co najmniej wątpliwych.

Przedmiotem rozważań kongresu były też sprawy społecznego ruchu kulturalnego. Z satysfakcją mówiono o szerokim oddziaływaniu zespołów amatorskich na systematyczne umuzykalnianie szerokich rzesz Polaków. Niezwykle ważny jest autentyczny kontakt z muzyką. Pokaźna liczba grup amatorskich stanowi główną ostoję kultywowania bogatych tradycji muzyki chóralnej oraz folkloru muzycznego. Wielu znawców przedmiotu — o międzynarodowym autorytecie — wysoko ocenia ich artystyczny poziom i formy pracy. Na uwagę zasługuje tu przyjęcie przez Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych w r. 1973 polskiej rezolucji w sprawie ochrony i dalszego rozwoju wartości kulturalnych.

Wydaje się, iż Kongres Upowszechniania Kultury Muzycznej spełnił oczekiwania organizatorów: Ministerstwa Kultury i Sztuki, Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków i Związku Kompozytorów Polskich. Pozwolił ukazać dokonania lat minionych, stan posiadania oraz aktualne potrzeby. Wyznaczył główne kierunki działania na najbliższą przyszłość, z których systematyczna edukacja muzyczna jest sprawą najważniejszą.

Kamena str. 10

Debreczyn i Lublin to bratnie miasta, które nawiązały między sobą serdeczne kontakty. Ostatnio „Kamena" dzięki inicjatywie Instytutu Kultury w Warszawie gościła redaktora naczelnego „Alföld", Béla Juhásza. „Alföld" różni się od „Kameny": ma format „Twórczości", jest pismem wyłącznie literackim, a nie społeczno-kulturalnym. Jego nakład wynosi ok. 1000 egzemplarzy. Niemniej wiele nas łączy. Mamy nadzieję, że wspomniana wizyta zapoczątkuje trwałą współpracę między „Kameną" a "Alföldem". Poniżej drukujemy artykuł Béli Juhásza zarówno na temat pisma, jak i miasta, w którym ono wychodzi.

ALFÖLD BLISKO POLSKI

Béla Juhász

PRAGNĘ zaprezentować naszym polskim przyjaciołom, czytelnikom „Kameny", węgierskie czasopismo literackie, wydawane w Debreczynie pod nazwą „Alföld".

Nazwa naszego czasopisma to właściwie pojęcie z zakresu geografii, odnoszące się do równinnego, płaskiego regionu o specyficznych warunkach, w którego kulturalnym centrum ono się ukazuje. „Alföld" reprezentuje ten region i jego kulturę, a jako czasopismo o zasięgu ogólnokrajowym wplata barwy umysłowości Debreczyna, mogącej się poszczycić swoistymi tradycjami historycznymi i literackimi, w całość węgierskiego życia literackiego.

Nie sposób w tym miejscu nie powołać się przynajmniej na pewną specyfikę historii Debreczyna. Kiedyś, dawno temu, miasta powierzały swą funkcję obronną murom z kamienia, wieżom obronnym i fortyfikacjom. Teren otaczający Debreczyn jest w każdym kierunku otwartą równiną, nie ma na nim góry ani rzeki. Miasto nie zamknęło się w murach, nie zabezpieczyło obiektami wojskowymi. Jego strategią — zaskakującą i na pozór niezwykle ryzykowną — było jedynie kształtowanie sił swego ducha w moc przetrwania. Tak częstokroć wspominana u nas „debreczyńskość" — z historycznego punktu widzenia — oznaczała przede wszystkim purytanizm i wytrwałość, wierność podjętym zobowiązaniom. Dzięki tej szukającej kompromisów dyplomacji miasto przetrwało burze dawnych wieków. Bywało i tak, że płaciło podatki trzem naraz potęgom, aby tylko móc żyć ze swymi prawami. Purytański i niepodległy, skłaniający się ku tradycji duch miasta w XVI wieku ściśle splótł się z reformacją. Debreczyn stał się centrum węgierskiego kalwinizmu, spokrewnionego ze szwajcarskim odłamem reformacji. Wraz ze swym starym Kolegium, wyższą uczelnią, biblioteką i działającą systematycznie od XVI wieku drukarnią — był jedną z najważniejszych baz tworzących wartości w historii kultury na Węgrzech. Ducha dawnego Debreczyna określali jego mieszkańcy: chłopi, rzemieślnicy, kupcy i inteligencja. Miasto nie uznawało przywilejów szlacheckich; stanowiąc własne prawa miejskie stworzyło swoistą republikę. W okresie ciężkich prób w historii Węgier, w ciągu wieków długiej niewoli tureckiej i jeszcze dłuższego ucisku Habsburgów, stało na straży języka i kultury węgierskiej.

W 1849 roku, w okresie walk wolnościowych w obronie zdobyczy rewolucji mieszczańskiej, Debreczyn stał się na pewien czas tymczasową stolicą kraju, tutaj przeniosły swą siedzibę rząd i zgromadzenie narodowe, tu Lajos Kossuth ogłosił detronizację Habsburgów i deklarował niepodległość. Natomiast w latach 1944—1945 los i rola Debreczyna kształtowały się całkiem podobnie, jak Lublina. Oba miasta po wyzwoleniu wschodniej Polski i wschodnich Węgier stały się tymczasowymi stolicami, pierwszymi centrami odbudowy kraju, demokratycznych przemian społecznych i nowych, historycznych perspektyw rozwoju.

Na wiosnę 1945 roku zaczęło się ukazywać w naszym mieście czasopismo „Magyarok" (Węgrzy), ale gdy rząd i organy centralne przeniosły się do Budapesztu, zabrały ze sobą również i pismo. Po kilku eksperymentach kompetentne siły twórcze i socjalistyczna polityka kulturalna powołały w 1950 roku do życia czasopismo „Alföld", ukazujące się od tego czasu systematycznie i będące dziś jednym z najstarszych i najbardziej znanych pism literackich na Węgrzech.

„Alföld" ma własny charakter, własne poczucie smaku i wartości. Jednocześnie zaś uwzględnia całokształt naszej literatury i rozmyśla o złożoności nurtów literackich, uznaje możliwość przenikania się estetycznych wartości o różnym charakterze, wychodząc z założenia, że wartości reprezentujące rozmaite tendencje w dziedzinie smaku artystycznego nie koniecznie muszą się negować, a raczej uzupełniają się nawzajem. Dążymy do tego, aby naszą praktykę redakcyjną charakteryzowała zasada własnej hierarchii wartości i dobrze pojętej otwartości.

„Alföld" podejmuje jednocześnie — starannie wyważając proporcje — zadania regionalne i krajowe. Znajduje to również wyraz w osobowym składzie naszych współpracowników. Prawie połowa naszych autorów pochodzi z Debreczyna i okolic, druga połowa rekrutuje się ze stolicy i innych miejscowości całego kraju. Debreczyńskie zaplecze pisma jest dlatego silne, że może się opierać na terenowej grupie Związku Literatów, a także na uniwersytecie, skąd napływają do nas młode talenty, głównie poeci i krytycy. W istocie redakcja i katedry literackie uniwersytetu w naszym mieście mogą być traktowane jako jedna wspólna pracownia, choćby dzięki powiązaniom personalnym, bo przecież w redagowaniu „Alföldu" zawsze czołową rolę odgrywali wykładowcy uniwersyteccy, historycy literatury. Pracownia ta jest też jednym z miejsc, gdzie wychowuje się przyszłe młode kadry węgierskiego życia literackiego.

Na Węgrzech istnieje swoista sytuacja, płynąca z faktu przytłaczającej przewagi centrum, Budapesztu, nad prowincjonalnymi, regionalnymi ośrodkami. Mimo świadomych dążeń do decentralizacji kultury, stopniowego umacniania prowincjonalnych ośrodków kulturalnych, wciąż jeszcze co innego oznacza u nas redagowanie czasopisma w stolicy, a co innego — poza nią. Już chociażby dlatego, że przeważająca większość pisarzy, czołowych przedstawicieli literatury mieszka właśnie w Budapeszcie. Co prawda możemy uzyskać od nich rękopisy i opublikować je, jednakże nasz program trzeba przystosowywać do własnych warunków. Pod wieloma względami zmusza nas to do takich właśnie zabiegów, co w rezultacie stało się wyznacznikiem charakteru pisma. Dlatego też uznajemy szczególną rolę młodych, przyciągając w ten sposób do pisma najlepszych spośród nich.

Należy wspomnieć o dwóch kierunkach głównych przedsięwzięć redakcyjnych, znajdujących odbicie w naszym czasopiśmie. Pierwszy z nich to jeszcze systematyczniejsze informowanie naszych czytelników nie tylko o literaturze węgierskiej w kraju, lecz także o literaturze w języku węgierskim istniejącej poza granicami Węgier, głównie w otaczających nas bratnich krajach socjalistycznych. Staramy się łączyć to z ukazywaniem — oczywiście z uwzględnieniem naszych ograniczeń objętościowych — przeglądu własnych literatur tych krajów, z których wspólnej rzeczywistości społecznej wyrasta tzw. narodowościowa literatura węgierska. Tak więc pierwszy zasięg naszego spojrzenia obejmuje literaturę słowacką, rumuńską, ukraińską i jugosłowiańską. Już tradycyjnie, właściwie od pierwszych roczników naszego pisma począwszy, rozszerzaliśmy i wzbogacaliśmy ten krąg tematyczny, z jednej strony w kierunku spokrewnionej z węgierską literatury narodów ugrofińskich, z drugiej zaś strony pozostałych europejskich krajów socjalistycznych, a wśród nich literatury polskiej.

W latach pięćdziesiątych, w pierwszych rocznikach „Alföldu" na jego łamy trafiała jeszcze głównie polska klasyka, potem zaś stopniowo również i literatura współczesna. Jako pierwszemu z wybitnych Polaków szczególną uwagę poświęciliśmy Mickiewiczowi.

Artykuły i przekłady przybliżyły naszym czytelnikom postacie i twórczość Słowackiego, Jasieńskiego, Gałczyńskiego, Tuwima i wielu innych. Nasi redaktorzy i współpracownicy zaczęli wyjeżdżać do Polski, publikując w cyklach przywiezione stamtąd bogate wrażenia, z których wyłania się wierny obraz polskiego życia umysłowego, tradycji i współczesnej kultury. Ukazuje się wiele informacji na temat artystycznego życia w Polsce, jego przejawów i dążeń, zwłaszcza odnośnie teatru, ale także plastyki i muzyki. Nasi poeci swym wrażeniom z Polski nadają kształt wierszy, chętnie identyfikując się z tym, co polskie (np. Ferenc Pákozdy: „Przed Pomnikiem Mickiewicza — Znowu w Warszawie").

W latach sześćdziesiątych nadal kontynuowaliśmy tę działalność. „Alföld" zajmował się wspaniałymi w tym okresie sukcesami polskiej kinematografii, które odbiły się szerokim echem również na Węgrzech. W tematyce naszego pisma pojawiła się współpraca polskiego i węgierskiego ruchu oporu podczas II wojny światowej, masowe przyjęcie na Węgrzech polskich uchodźców po agresji hitlerowskiej w 1939 roku. Od końca lat sześćdziesiątych w zainteresowaniu polską literaturą na Węgrzech umacnia się rola nowoczesnych poszukiwań i dążeń młodszych pokoleń. W udanych węgierskich przekładach ukazuje się coraz więcej wierszy, ale także coraz więcej informacji o polskiej literaturze, życiu kulturalnym, o jakościowych osiągnięciach i zjawiskach w literaturze. Dzieje się tak również dlatego, że wśród młodych poetów i literatów z Debreczyna są i tacy, którzy podjęcie się roli tłumacza uważają za swe powołanie, wielu też systematycznie zajmuje się popularyzacją polskiej kultury i literatury na Węgrzech. Trzeba tu wspomnieć przynajmniej nazwisko Anikó Várkonyi, bardzo zdolnej, przedwcześnie zmarłej młodej poetki z Debreczyna, która w centrum swej twórczości przekładowej postawiła sobie za cel tłumaczenie współczesnej, młodej polskiej poezji. W latach pięćdziesiątych zaprezentowaliśmy czytelnikom „Alföldu" między innymi utwory Małgorzaty Hillar, Tadeusza Różewicza, Marka Nowakowskiego, Sławomira Mrożka i wielu innych. Przy tego typu prezentacjach i wyborze naturalnie zawsze trzeba się liczyć z pewnym elementem przypadkowości, kiedy i na co tłumacze zwrócą uwagę, jakimi kanałami dotrą do nich pewne inspiracje. Informujemy systematycznie czytelników „Alföldu" o recepcji literatury węgierskiej w Polsce, o echach, jakie budzi, szczególnie zaś o przekładach na język polski w czasopismach i wydawnictwach książkowych. Na wyróżnienie zasługuje tu przede wszystkim István Molnár z Debreczyna, należący do licznego już grona osób, które robią bardzo wiele w dziedzinie praktycznej realizacji węgiersko-polskich kontaktów kulturalnych. Mamy z czego zdawać sprawozdania naszym czytelnikom, bo przecież od lat mniej więcej dwudziestu literatura węgierska w Polsce ukazuje się częściej niż dotychczas.

W tym okresie wzbogacono też znacznie kulturalny program w ramach kontaktów bratnich miast: Debreczyna i Lublina. Dużym sukcesem cieszyła się zorganizowana w Debreczynie wystawa polskiej książki, natomiast wystawa prac dziewięciu lubelskich malarzy, którą oglądaliśmy w 1971 roku, pozwoliła wyrobić sobie pogląd na współczesną polską plastykę. Nie mniej podziwiana była wystawa polskiego plakatu, świadcząca o dużej kulturze grafiki i inne podobnie udane zbiorowe ekspozycje.

W latach siedemdziesiątych działalność „Alföldu" jako pośrednika poszła o tyle dalej, aniżeli w latach wcześniejszych, że wzbogaciliśmy wiadomości o Polsce naszych czytelników większymi od poszczególnych publikacji zestawieniami, grupowymi prezentacjami, rozleglejszą panoramą i bardziej przejrzystymi informacjami. Jesienią 1974 roku na przykład zaprezentowaliśmy za pośrednictwem większego bloku, zredagowanego z okazji 30-lecia wyzwolenia Polski, polską poezję średniego pokolenia. Poeta i historyk István Kovács, bardzo dobry znawca i gorliwy popularyzator polskiego języka, historii i literatury przełożył na język węgierski 30 wierszy dziesięciu polskich poetów zamieszczając je na łamach naszego pisma dla zilustrowania większego szkicu na ten temat. Dzięki temu w czasopiśmie z Debreczyna mogły się ukazać utwory Tadeusza Różewicza, Wisławy Szymborskiej, Tadeusza Nowaka, Ernesta Brylla i innych, niektóre nie po raz pierwszy zresztą. Ostatnio natomiast, we wrześniowym numerze „Alföldu" z 1979 roku, opublikowaliśmy obszerniejsze, bogatsze od dotychczasowych, zestawienie polskiej literatury. Wydanie tego numeru umożliwiło nam znalezienie wśród papierów i rękopisów wspomnianej już, przedwcześnie zmarłej, Anikó Várkonyi wiele dotychczas jeszcze nigdzie nie publikowanych i naprawdę znakomitych polskich przekładów, nad którymi pracowała w ostatnich miesiącach swego życia. Dzięki jej przekładom w tym jeszcze, można by rzec, świeżym numerze zaprezentowaliśmy 13 młodych polskich poetów, między innymi Rafała Wojaczka, Jana Marszałka i Wita Jaworskiego. Jednocześnie po raz pierwszy zamieściliśmy przejrzysty szkic informacyjny o współczesnej literaturze lubelskiej. Z drugiej zaś strony obszerne, podsumowujące omówienie drogi i recepcji literatury polskiej na Węgrzech po 1945 roku.

Popularyzacja przez nasze pismo literatury polskiej sprawiła, że minister kultury i sztuki Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej nadał jesienią 1978 roku czasopismu „Alföld" — ku naszej ogromnej radości — zaszczytne odznaczenie „W uznaniu zasług dla polskiej kultury". Uważamy je za dowód szczególnie cennego uznania i również w przyszłości postaramy się sprostać zawartej w nim idei.

Wiemy również, jak wiele w dziedzinie popularyzacji literatury węgierskiej w Polsce robią nasi polscy koledzy. Należy ty wymienić chociażby tego typu zbiorowe przedsięwzięcie, jak antologia wierszy węgierskich siedmiu wieków, wydana przed paru laty pod tytułem „Antologia poezji węgierskiej", która zawiera około 300 utworów 70 poetów węgierskich, węgierski numer „Źródeł" w Kamenie w 1979 roku, czy „Literatury na Świecie" z 1975 i 1979 roku. Obok troskliwej pracy redaktorów i wydawców mogły one dojść do skutku tylko dzięki pracy szeregu poetów i tłumaczy. Z całym przekonaniem możemy jednak powiedzieć, że tego typu działalność przynosi pożytek obu naszym literaturom i kulturom służy sprawie ich wzbogacenia. Jest godna historycznych tradycji obu naszych narodów i bratnich, socjalistycznych perspektyw wspólnej przyszłości.

Na spotkaniu w Klubie MPiK w Lublinie. O założeniach pisma „Alföld" mówi red. Béla Juhász. Z lewej strony — tłumacz

Fot. W. Stępień

W kręgu młodzieżowej utopii

W LATACH sześćdziesiątych krajami wysoko rozwiniętymi wstrząsnęła fala ruchów młodzieżowych o nie spotykanym dotychczas rozmiarze i charakterze. Jednym z ich przejawów był niewątpliwie ruch „Nowej Lewicy" amerykańskiej.

Czym była „Nowa Lewica"? Co wniosła do ogólnego dorobku myśli społecznej? Dlaczego upadła? Na te i inne pytania stara się odpowiedzieć w „Utopii Nowej Lewicy amerykańskiej" Roman Tokarczyk *), znany autor wielu prac dotyczących myśli politycznej.

Okazuje się, że ruch „Nowej Lewicy" był tak bardzo zróżnicowany zarówno pod względem charakteru jak i treści, że można mieć uzasadnione wątpliwości czy był to tylko jeden ruch i czy w takim razie mamy podstawy, aby mówić o jego ideologii. Bo czegoż tam nie ma — są idee zaczerpnięte od bitników, hipisów, filozofów egzystencjonalnych, amerykańskiej Lewicy intelektualnej, Mercusego, Michelsa, Fromma... To tylko najważniejsze inspiracje. Słowem wszystko było dobre, co wyrażało protest, głównie emocjonalny, przeciwko państwu liberalnemu, jego instytucjom i wartościom.

Tym kwestiom autor poświęcił wiele miejsca w rozdziale „Krytyka systemu kapitalistycznego", gdzie szczegółowo omawia podstawowe kierunki tej krytyki.

Jak dać człowiekowi zarazem autonomię i autentyczność, unikając idealizmu i nie wpadając w mechanistyczny materializm — to problem który z różnym skutkiem próbowali rozstrzygnąć działacze „Nowej Lewicy". Autor bardzo wnikliwie przedstawił problem deformacji osobowości w kapitalizmie, jako główny motyw w poszukiwaniu drogi do własnego „ja". Okazuje się, że przedstawiciele „Nowej Lewicy" doskonale widzieli skutki alienacji, nie zawsze jednak potrafili wskazać jej źródła, a jeszcze trudniej przychodziło im wskazanie dróg wyjścia.

Tak też było z ideą wolności. „Nowej Lewicy" nie wystarczały dotychczasowe modele wolności. Próbowali stworzyć własny. Ale ten ich twór, oderwany od rzeczywistości, przypominał bardziej źle przeżutą papkę, której ani przełknąć ani wypluć nie można, niż opartą na logicznych podstawach koncepcję polityczną. Ustrój komun był najlepszym tego dowodem i stanowił najmocniejszy argument autora do nazwania całej ideologii utopią. Nic też dziwnego, że nawet postulaty przebudowy obyczajowości, ozdobione „wspaniałą" wizją fizycznej i duchowej miłości z ideą miłości grupowej na czele, podniesione w piśmiennictwie do rangi symbolu oryginalności i odrębności komun, nie znalazły ogólnospołecznej aprobaty.

Niewątpliwie podstawową ideą „Nowej Lewicy" była idea równości. W programach tego ruchu przeplatały się dwie koncepcje równości. Jedna nawiązywała do reformizmu, zalecając rozwiązanie kwestii równości w ramach systemu. Druga — rewolucyjna, odrzucała obecny system i proponowała zastąpienie go innym, zasadniczo odmiennym. Sama kontaminacja obu koncepcji była bardzo mglista i przypominała bardziej „wariacje na intencje" niż logiczną konstrukcję programową.

Do najciekawszych i najbardziej oryginalnych pomysłów „Nowej Lewicy" — co doskonale wykazał R. Tokarczyk — należały idee demokracji uczestniczącej.

W czym przejawiała się ich istota i oryginalność? W „Deklaracji Port Huron" mówi się: „Wzorzec systemu społecznego upatrujemy w ustanowieniu demokracji zapewniającej uczestnictwo w niej poszczególnym jednostkom, kierując się dwiema zasadniczymi dyrektywami: aby jednostka uczestniczyła w tych decyzjach społecznych, które określają jakość i kierunek życia; aby organizacja społeczeństwa pobudzała niezależność ludzi, dostarczając im środków niezbędnych do ich wspólnego uczestnictwa".

Różne były formy demokracji uczestniczącej. Autor wyczerpująco omawia trzy: porozumienie, decentralizację i kontrolę. Na szczególne podkreślenie zasługuje decentralizacja, a to z tej racji, że miała m. in. stanowić „strukturalną wizję nowego społeczeństwa", a poza tym miała być końcowym efektem przeobrażeń społecznych.

W każdym ruchu społecznym oprócz warstwy krytycznej i programowej można wyróżnić taktykę walki. Taktyka — tak należy chyba sądzić po przeczytaniu rozdziału „W kręgu alternatyw taktycznych" — była najsłabszym ogniwem w ruchu „Nowej Lewicy". Zabrakło jej przede wszystkim jednolitości i konsekwencji w działaniu. Na podkreślenie zasługuje oryginalna, a może tylko dziwaczna forma, jaką stosowali hipisi. „Hipisi — jak podaje Tokarczyk — odcięli się od polityki, odizolowali od życia, uciekli od własnych zdolności odczuwania i doświadczania cierpień tych, którzy pozostali w społeczeństwie... Uważali, że społeczeństwo burżuazyjne nie było godne ich bezpośredniego ataku, ... przeżarte złem musi upaść samo. Uważali, że wolność to sprawa indywidualna, możliwa do osiągnięcia już »tutaj i teraz«".

Ubóstwo, miłość, egzotyka, rozwinięta wrażliwość, bogate życie wewnętrzne wzbogacone o łagodność, wyrażoną urosłą niemal do symbolu „władzą kwiatu", wyglądały na tle prostytuującej się kultury może nawet i romantycznie, ale jednocześnie świadczyły o naiwności politycznej hipisów.

Recenzowana praca to niewątpliwie jedna z ciekawszych pozycji dotyczą-

O lubelskim teatrze

Z OKAZJI 35-lecia lubelskiego Teatru im. Juliusza Osterwy ukazało się piękne wydawnictwo książkowe, poświęcone dziejom tej sceny. Opracowała je — i poprzedziła gruntownym a rzeczowym wstępem — Maria Bechczyc-Rudnicka. Kierownik literacki tej sceny, recenzentka teatralna, pisarka pełna żywotności (niedawno omawiałem w „Nowych Książkach" — nowy tom jej opowiadań), Bechczyc-Rudnicka była ze wszech miar kompetentna, by taką książkę zredagować.

Dziesięciu po kolei dyrektorów władało lubelską sceną. W przedmowie do omawianej książki Maria Bechczyc-Rudnicka charakteryzuje ich osobowość i znaczenie. Cenne wydaje się przede wszystkim przypomnienie pionierskiej pracy założycieli i pierwszych artystycznych kierowników tego teatru: Ireny Ładosiówny i Józefa Klejera, jej męża. Z Klejerem współpracowałem w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych w warszawskim Teatrze Ludowym przy ulicy Szwedzkiej. Ładosiównę nieraz spotykałem w ostatnich latach jej życia w warszawskiej kawiarni przy ulicy Puławskiej. Reżyserowała wtedy spektakle teatru „Komedia". Spokojna, przenikliwa i subtelna, snuła niezmiernie ciekawe i cenne uwagi.

Tym lepiej mogę sobie wyobrazić owe chwile, latem 1944 roku, gdy państwo Klejerowie rozpoczynali wstępne prace w lubelskim schronie przeciwlotniczym, otoczeni gronem aktorów i adeptów. Po ucieczce Niemców wyszli „na powierzchnię", do sal teatralnych. Nie rozporządzali ani większymi zasobami materialnymi ani egzemplarzami sztuk. Zaczęli jednak w atmosferze niebywałego zapału. W pomoc im przyszli: Aleksander Fredro, a po tym Zapolska, nieśmiertelna „Moralność pani Dulskiej".

Drugi etap — to przyjazd Teatru Wojska Polskiego, kierowanego przez Władysława Krasnowieckiego. Zespół ten wchłonął tymczasową imprezę Klejera i Ładosiówny, pozostawiając jej jednak autonomię, angażując wszystkich jej pracowników.

Również i ten zespół borykał się z trudnościami. Gdy na przykład wystawiono „Śluby panieńskie", musiano pożyczać buty dla Albina — od przygodnego widza. Niebawem pokuszono się o „Wesele". Pewnego dnia Krasnowiecki złożył „raport" o stanie odrodzonej sceny — wielkiemu i jakże nowoczesnemu aktorowi dwudziestolecia międzywojennego, twórcy warszawskiego „Ateneum", więźniowi Oświęcimia, śmiertelnie już choremu Stefanowi Jaraczowi.

Teatr Wojska przeniósł się niebawem do Łodzi. W Lublinie pracował Teatr Miejski, pod kierownictwem Antoniego Różyckiego, a potem — Maksymiliana Chmielarczyka. W dalszym ciągu kształcił aktorów, reżyserów i scenografów, którzy potem zdobyli uznanie innych ośrodków (np. Wiesław Michnikowski, Ryszarda Hanin, Danuta Nagórna).

Alina Żeliska, aktorka warszawska pracująca w Lublinie w latach czterdziestych, wzruszająco kończy swe wspomnienia: „Lublin przycichł powoli, ale nam trudno było opuścić tę jedyną w swoim rodzaju publiczność. Pozostałam w Lublinie jeszcze parę lat i okres ten zawsze mi będzie drogi. Cóż dalej? Warszawę odbudowano, odleciały warszawskie dzieci. A Lublin? Teraz może nie wydałby mi się kolosem nowojorskim, tylko tym czym jest, jednym z najpiękniejszych miast polskich".

Następni kierownicy w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ambitnie kierowali sceną lubelską.

O pracy jednego z wybitnych dyrektorów stale Lublinowi wiernych, Maksymiliana Chmielarczyka, pisze Maria Bechczyc-Rudnicka, że „choć gnębiony (aż do upaństwowienia) nadmiernymi troskami organizacyjnymi, wykazuje wyraźną tendencję do podniesienia repertuaru, do kolektywnej pracy kierowniczej, do szerzenia kultury teatralnej na terenie województwa". Interesująco wspomina okres lubelski — Kazimierz Iwiński. Piękne karty poświęcono wybitnemu aktorowi, Aleksandrowi Aleksemu. Scharakteryzowano dążenia Kazimierza Brauna.

Na festiwalach teatralnych zespół lubelski zbierał nagrody. W Kaliszu w 1961 roku należałem do jury, które przyznało odznaczenia dla Jana Machulskiego, Stanisława Mikulskiego i Jerzego Rakowieckiego (gościnnie reżyserującego „Sułkowskiego"), jak również Janusza Warpechowskiego za scenografię. Pamiętam wrażenia, jakie nam zostawili lublinianie. Podobnie było w 1963 i 1970.

Czym się ponadto wyróżniał teatr lubelski? Inicjatywą zapraszania znakomitych aktorów i reżyserów na gościnne występy (m. in. Jana Kreczmara). Ważne też było powołanie do życia małej sceny pod nazwą „Reduta 61", która — z inicjatywy Haliny

Pisarz przeżywający epokę

WYDAWNICTWO Lubelskie sprawiło miłą niespodziankę wielbicielom talentu Stefana Żeromskiego. Nakładem tej oficyny ukazała się powieść o twórcy „Ludzi bezdomnych" pt. „Róża na wietrze" pióra Moniki Warneńskiej. Sama autorka nazywa swą pracę „opowieścią" pisząc, iż stanowi ona próbę „rekonstrukcji niektórych rozdziałów biografii pisarza, ujętą w zbeletryzowaną formę".

Autorka podkreśla związki pisarza z okolicami naszego kraju, które były mu szczególnie bliskie. Pod jej piórem ożywa Nałęczów z końca XIX i początku XX wieku i ludzie swymi czynami zapisujący jego historię. Wiele miejsca poświęca wydarzeniom związanym z rewolucją 1905 roku oraz działalnością entuzjastów pracy społecznej, egzystujących bądź w Nałęczowie, bądź okolicy. Obszernie prezentuje przedsięwzięcia i trudności, jakie musieli pokonać, by osiągnąć upragniony cel, choć nie zawsze zabiegi wieńczył spodziewany rezultat. Bohaterowie to bezinteresowni społecznicy, skupieni wokół popularnego już wówczas pisarza: doktorostwo Rudzcy, Jan Witkiewicz, Faustyna Morzycka, Felicja Nagórska, Mieczysław Brzeziński, Gustaw Daniłowski, Kazimierz Dulęba, Felicja Sułkowska i inni. Autorka ujawnia nurtujące ich problemy, troskę o powodzenie akcji odczytowej pomyślanej dla prostych ludzi, szkołę, działalność ochronki, towarzystwa „Światło", teatru amatorskiego, dzięki któremu możliwe było sprowadzanie do Nałęczowa prelegentów, zakup książek i przeźroczy. Koncentruje ponadto uwagę na przeżyciach, jakich doznali Żeromscy w Raperswilu, pisze m. in. o utarczkach z kustoszem tamtejszego polskiego muzeum, Włodzimierzem Różyckim, o obojętności członków Rady Muzealnej. Zauważa, iż pisarstwo Żeromskiego nie da się interpretować z pominięciem jego biografii. Podaje przy tym dowody. Np. raperswilskie doświadczenia według Warneńskiej Żeromski wprowadził do powieści „Ludzie bezdomni", pierwowzorów bohaterów szuka w rzeczywistości: cechy Oktawii i dr Sacewicza — znajomego z Nałęczowa — mają Joasia i Judym z „Ludzi bezdomnych", kolega z gimnazjum Wacek Machajski to powieściowy Radek („Syzyfowe prace"), Anna Zawadzka, późniejsza Żeromska pojawiła się na kartach „Róży" w postaci Krystyny, jako Tatiana w „Urodzie życia", Xenia w trylogii powieściowej „Nawracanie Judasza".

Monika Warneńska ujawnia również okoliczności towarzyszące spotkaniu Żeromskiego z Maksymem Gorkim, jego przyjacielem Leonidem Andrejewem oraz pisarką i działaczką szwedzką Ellen Key na Capri; opowiada o czteroletnim pobycie pisarza, wypełnionym pracą literacką, kontaktami z rodakami, w Paryżu, a także o ostatnich dniach ukochanego jedynaka Adasia w Nałęczowie.

Przekonująco ukazuje więzi, jakie łączyły autora „Wiatru od morza" z „lądem odzyskanym", jak nazywał skrawek wybrzeża, który przypadł Polsce w udziale po pierwszej wojnie światowej, gromadzi szczegóły dotyczące uczestnictwa Żeromskiego w akcji propagandowej na rzecz plebiscytu na Warmii i Mazurach, a także konsekwentnego dążenia do gruntownego poznania morskiego wybrzeża i życia ludu, jego mowy i obyczajów. Właśnie rezultatem peregrynacji po wybrzeżu,

cych współczesnej myśli politycznej. Rzadko można spotkać tak bardzo udane połączenie naukowej analizy wybranego zjawiska społecznego z klarownością wywodów, co czyni tę pracę pomimo naukowego charakteru ogólnie przystępną. Jest — co trzeba podkreślić — prawdziwą kopalnią informacji na temat ruchu „Nowej Lewicy". Autor wykorzystał wszystkie dostępne środki w celu jak najwłaściwszego naświetlenia faktów. Oprócz osobistych spostrzeżeń i odczuć, jakie wyniósł ze swego pobytu w Stanach Zjednoczonych, wykorzystał bogate materiały źródłowe w postaci literatury fachowej i informacji zgromadzonych w periodykach głównych ugrupowań „Nowej Lewicy". Własne wnioski wzbogacił o przemyślenia wybitnych indywidualności świata nauki. Bogate zebrane informacje poddane zostały naukowej analizie. Praca — co trzeba zaznaczyć — pisana jest z pozycji marksistowskich i dokonuje się w niej marksistowskiej analizy omawianego zjawiska społecznego.

Dużym jej walorem jest język. Błyskotliwe pióro R. Tokarczyka ożywia wydarzenia lat sześćdziesiątych, niby odległe, a jednak bliskie dzięki literackiemu wdziękowi tej książki i zafascynowaniu tematem samego autora. Biorąc do ręki tę książkę otrzymamy panoramiczny obraz ruchów, które wstrząsnęły za sprawą „Nowej Lewicy" Stanami Zjednoczonymi. Znajdą w niej przedmiot zaciekawienia wszyscy, którzy poszukują przygody intelektualnej a interesują ich cywilizacyjne niepokoje i ruchy społeczne na Zachodzie.

Marian Zdyb

Roman Tokarczyk: „Utopia -Nowej Lewicy- amerykańskiej", Wiedza Powszechna, Warszawa 1979, str. 286

---

i Jana Machulskich — miała wystawiać nowe sztuki polskie. I choć, po pewnym czasie, tempo prac tutaj osłabło, nowa „Reduta" umiała się odradzać, wierna dążeniom patrona lubelskiego teatru, Juliusza Osterwy. O czasach najnowszych nie wypada tu szerzej wspominać, czytelnicy „Kameny" znają je najlepiej. Wysoki poziom lubelskiej sceny jest — wiem to dobrze — związany z atmosferą miasta zasłużonego dla kultury polskiej, od Kochanowskiego po Żeromskiego. Z dumą o nim mawiał Aleksander Zelwerowicz. Żeromski twierdził, że na Lubelszczyźnie i Kielecczyźnie rozbrzmiewa najczystsza mowa polska. Wspominam bezpośrednio powojenne me kontakty z „Kameną" i „Zdrojem", postać Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, byłego więźnia niemieckich obozów, znakomitego poety i tłumacza. Pamiętam Zjazd Literatów w 1965 r., urocze spotkania literackie w czasie tego zjazdu, odczyty uczelniane. Nie tylko teatr ale i cała atmosfera lubelska ożyły w pamięci, gdym czytał tak barwną i żywą kronikę, przedstawioną przez naszą drogą i miłą, niestrudzoną Panią Marię. Wzorowo napisana książka, wzbogacona zdjęciami i wykazami!

Wojciech Natanson

*) **„Lubelski Teatr Dramatyczny. 1944-1979. Materiały pamiątkowe". Wybór, opracowanie i wstęp: Maria Bechczyc-Rudnicka. Państw. Teatr im. J. Osterwy, Lublin 1979, Str. 112.**

---

rozmów z mieszkańcami, wnikliwych studiów dotyczących przeszłości Pomorza są dwie książki „Wiatr od morza" i „Międzymorze".

Ponadto podaje Warneńska powody, które zadecydowały o „wyłączeniu" pisarza, który słowem i piórem bronił interesów Polski na jej ziemiach zachodnich i północnych z rozgrywek o najwyższe międzynarodowe wyróżnienie literackie.

Autorka, tworząc fabułę swej „opowieści", wykorzystuje fragmenty „Dzienników", korespondencji Żeromskiego, wspomnienia mu współczesnych, dzieła o autorze „Sułkowskiego". Cel, który pragnęła osiągnąć, zdradza w posłowiu: „Chciałam przybliżyć Czytelnikom pisarza, który nigdy nie potrafił być [...] wyłącznie literatem, artystą. Zawsze był również człowiekiem, w pełni przeżywającym epokę, na którą przypadł jego los, człowiekiem [...] poświęcającym własny czas, wysiłek, talent sprawom, jakie niosła przepływająca wokół niego „burzliwa rzeka wydarzeń".

Mieczysław Kościński

Monika Warneńska: „Róża na wietrze", Wydawnictwo Lubelskie, Lublin, 1979, str. 367, cena 44 zł.

SĄDY, że nowe formy w muzyce, plastyce, poezji nie miały analogii w przeszłości, że awangardowe kierunki w sztuce dwudziestowiecznej odcinają nas od tradycji i chwalą się znakiem całkowitej nowości, są chyba nieprawdziwe. Nie bulwersują bardziej futuryści, surrealiści, konceptualiści, czy nudyści, niż robił to kiedyś mieszkający w beczce Diogenes, indywidualność niepowtarzalna, niemożliwa do porównania i naśladowania. Poza ramy szesnastowiecznych konwenansów wychodził Caravaggio, który do malarstwa wprowadzać zaczął elementy fantastyki przy jednoczesnym dążeniu do bezkompromisowego realizmu. Szokował sfalowanymi kształtami Domenikos Theotocopulos, zwany El Greco, gdy łączył bizantyjską wirtuozerię ikonograficzną z hiszpańską mistyką. Brutalnie burzył porządek istniejący w polityce i ideologii Amenofis IV Echnaton, faraon rewolucjonista. Zniósł kult Amona, zlikwidował wielobóstwo, wprowadził kult jedynego boga słońca — Atona. Podróżnicy zwiedzający świątynię w Luksorze mogą oglądać ślady zbijania przez ówczesnych kamieniarzy płaskorzeźb i rysunków wyrzuconego boga. Grafika wierszy jezuity Baki, epigona baroku, sąsiaduje z układem rozrzuconych schodków poezji dwudziestego wieku. Z literatury egzystencjalistów wyziera taki sam lęk i bezradność, jak i z pism ze schyłku starożytności. Marcel Duchamp połączył filozofię z malarstwem i nikt nie minie obojętnie „Panny młodej rozebranej przez swych kawalerów, jednak". Zielony człowieczek galopujący w naszym kierunku czarną dziurą z czwartego wymiaru wyrósł z tego samego płodu, co istoty żyjące na ziemi nieznanej przed samotnym rejsem Krzysztofa Kolumba. A przecież przed Kolumbem byli Fenicjanie i Normanowie, tak jak przed Kopernikiem Arystarch z Samos.

Popatrzmy na sprawę konwersji. Syn kunigasa Kiejstuta Witold, znany również pod katolickim imieniem Aleksandra, zmieniał konfesję trzykrotnie. Jego stryjeczny brat, Władysław Jagiełło, urodzony w pogaństwie, przyjął prawosławie, by następnie stać się katolikiem. Legacja, której przewodził wielmoża Dymitr z Goraja, prosiła w Malborku na ojca chrzestnego poprzednika Konrada Wallenroda, wielkiego mistrza Konrada Zoellnera von Rottensteina. Ten jednak nie chciał zostać kumem i odmówił. Henryk Burbon, król Nawarry, hugonota, decyzję o konwersji i objęciu tronu podsumował powtarzanym do dziś oświadczeniem „Paryż wart jest mszy". Celtycki krzyż wspierał Germanów, chrześcijański zwyciężył przy Moście Mulwijskim Maksencjusza. Popi składali ofiary i pełnie swoim bogom, pastorzy swoim. Pasek usługiwał do mszy zajuszonymi rękami, a junackiemu Kmicicowi jęki mordowanych przez Ordyńców chłopów pruskich przeszkadzały w odmawianiu pacierzy. Podobną ekwilibrystykę światopoglądową uprawia się w naszych czasach. Od Alaski po Sydney.

Inną kwestią jest rzekomo szybsze dojrzewanie młodzieży. Piętnastoletni władca na tronie w wiekach średnich, to nie tylko teatralność czy wymóg polityczny. To nie zawsze regenci czy rada sprawująca władzę w imieniu. Często jest to faktyczne władanie państwem i życiem poddanych. Jadwiga Andegaweńska zasiadła na tronie, gdy miała dziesięć lat, w trzynastym roku życia została żoną Jagiełły, wcześniej na Wawelu głośno wyraziła swoje uczucia do Wilhelma Habsburga. Władysław III był dziesięcioletnim chłopcem z koroną królewską na głowie. W wieku szesnastu lat panowaniem objął również Węgry. Jego dwudziestoletnie życie przeciął mieczem żołnierz piechoty tureckiej, Kodża Khizr. A dzisiaj mówimy o zjawisku wunderkindu, o wcześniejszym dojrzewaniu.

Nie różnimy się pewnie zanadto i w sprawach erotyki. Oglądany spod wstydliwie przymkniętych powiek zachodni przemysł w tej dziedzinie, niewiele odbiegł od wzorów korynckich czy sodomickich. Sodomia, nekrofilia, córy Koryntu — to pojęcia, które zrodził już świat antyczny. Demokryt z Abdery podobno pozbawił sam siebie wzroku, by mniej być podatnym na pokusy zmysłowe. Poczytajmy Graves'a. Erich von Däniken sugeruje, że nasi antecessorzy — Kosmici, by zapobiec degeneracji genetycznej zdecydowali się nawet na użycie ładunku jądrowego, niszcząc gniazda wyuzdania i rozpusty, Sodomę i Gomorę. A jaką „pornografię" uprawiał Jan Andrzej Morsztyn. Pikanterii dodaje fakt, że autor, mistrz poetyckiego rzemiosła, pisząc te frywolne wiersze maczał pióro w kałamarzu kontrreformacji. A oto analekta z Kochanowskiego, fraszka erotyczna „Do dziewki":

Nie uciekaj przede mną, dziewko urodziwa,
Z twoją rumianą twarzą moja broda siwa
Zgodzi się znamienicie: patrz, gdy wieniec wiją,
Że pospolicie sadzą przy różej lelują.

Nie uciekaj przede mną, dziewko urodziwa,
Serceć jeszcze niestare, chocia broda siwa;

Bronisław Seniuk

Choć u mnie broda siwa, jeszczem niezganiony,
Czosnek ma głowę białą a ogon zielony.

Nie uciekaj, ma rada, wszak wiesz, im kot starszy,
Tym, pospolicie mówią, ogon jego twardszy;
I dąb, choć mieścy przeschnie, choć list na nim płowy,
Przedsię stoi potężnie, bo ma korzeń zdrowy.

Jak wyglądają dzieje świata wzdłuż przekroju przez zżerające go wojny? Historyk literatury, Paul Hazard, „kryzys świadomości europejskiej 1680—1715" zamknął następującymi konkluzjami: „Czym jest wówczas Europa? Terenem zaciekłych walk między sąsiadującymi krajami, gdzie Anglia rywalizuje z Francją, a Francja z Austrią..., gdzie panuje wojna powszechna. I choć do cna wyczerpane narody tęsknią za prawdziwym pokojem, wojna nie ustaje: rok w rok z nadejściem wiosny armie wyruszają w pole [...] Europo, ziemio niezgody i zazdrości, żalów i niesnasek! Narody romańskie pogardzają ludźmi z grajów germańskich... ci zaś odpłacają pięknym za nadobne... Kraje romańskie kłócą się między sobą; można by rzec, iż każdy zżyma się, gdy musi uznać zalety sąsiada, i że zwraca uwagę tylko na jego wady". Szyderstwo życia kryje się w tym, że „konkluzje" zrobione w formie pamfletu przez europejczyka Hazarda na Europę i jej rolę w świecie są jednakowo trafne dla przełomu XVII i XVIII wieku, okresu wędrówek ludów i dla naszego stulecia. Przez wieki niepomiernie rozwinęły się środki niszczenia, mniej sztuka wojenna. Niezmienione pozostały motywy i żądze. Bo w niewielu wypadkach wojna była rzemiosłem dostarczającym środków do życia. Dziejopis Szymon Starowolski w wydanych w roku 1631 „Wojownikach sarmackich" pisząc o Tatarach wyjaśniał, że „... z płomieni wyrywają swe pożywienie". Może istotnie tylko wojna mogła dać im pożywienie może było inne wyjście, faktem jest, że wojny są tworem zachłanności społecznej i agresywnych instynktów tkwiących w psychice ludzkiej. Wirus szaleństwa zaczyna opasywać świat. Drąży mózgi polityków. Ci przekazują sztafetę wojskowym i środkom masowego przekazu. Słychać tam-tamy, rozpoczyna się wściekły taniec. Ręce dotąd uniesione w geście pozdrowienia zaciskają się w pięść, chwytają za karabiny. Alexanderplatz, Place de la Concorde, ateńska agora, dotąd melancholijne i spokojne, płoną niedobrą czerwienią. Zamiast „Kodaka" — automat, zamiast swetra — mundur, zamiast filiżanki kawy — menażka z wojskową zupą.

Statut piotrkowski z 1496 roku postanawiał, że tylko jeden spośród synów chłopskich mógł opuścić wieś i iść na służbę, na studia lub do rzemiosła. Ale i dzisiaj syn chłopa z białostockiej wsi, gdzie jeszcze w dwudziestym wieku praktykowano prawo pierwszej nocy, niewiele większe ma legalne szanse uzyskania mieszkania, a co więcej akceptacji społecznej w Warszawie, czy innym „mieście zamkniętym", do którego przystępu bronią prawa stanowione po drugiej wojnie. Na przystanku autobusowym siedemnastoletnia licealistka z trądzikiem młodzieńczym czyli pospolitym na policzkach i czole, a z dwójkami w dzienniku, pouczała ładną i elegancką, ale zażenowaną koleżankę, że jest tylko „rolnikiem-badylem", że dobrą to może być na fizyce i angielskim, ale nigdy na ulicy. Mocno się zdziwiła, że przed wojną premierem Rzeczypospolitej Polskiej był galicyjski rolnik. Nie wiem, czy prowadzi się badania nad tymi zjawiskami, niewiele o tym się pisze, ale sprawa istnieje, choć jest to zaskakujące. Wydana w tym roku synteza profesorów Ihnatowicza, Mączaka i Zientary, do naszych czasów nie sięga.

W niektórych dziedzinach techniki ogrom postępu jest tak widoczny, że nawet pytanie o to jest naiwnością. W innych mniej. Podobno żaden koncern dzisiaj nie podjąłby się budowy piramidy Cheopsa, mimo że w dyspozycji ma najnowocześniejsze środki transportu, dźwigi budowlane, przyrządy pomiarowe. Zagadką pozostaje znany w Egipcie sposób mumifikacji zwłok. Nie zawsze potrafimy obliczyć koszty budowy monumentalnych pamiątek kultury starożytnego Egiptu. Były one z pewnością przeogromne. Ale w trakcie przenoszenia świątyń Abu Simbel na poziom niezagrożony wodą, brak funduszy i taniej koncepcji zmusiły projektantów, wykonawców oraz komisje ekspertów, do wybrania tzw. „wariantu rozpaczy". Trzeba wyznać, że rozpaczliwe rozwiązania stosowane są często na obiektach zabytkowych nawet Europy. Głosy pełne entuzjazmu dla dokonań techniki można znaleźć w literaturze staropolskiej. Otwartemu w Warszawie w roku 1573 mostowi przez Wisłę Jan Kochanowski poświęcił aż pięć fraszek. Balon zafascynował Trembeckiego. Rolnik i poeta z Różanki nad Bugiem, Stefan Sidoruk, uległ czarowi lubelskiego węgla. Pisał o tym niedawno w „Regionach". Rewolucja naukowo-techniczna nie wyzwoliła ludzkości z przymusu katorżniczej pracy fizycznej. Kto choć raz stanął do rozładunku (6 ton — 60 kwintali cementu w jedną godzinę, 50 kg w ciągu pół minuty), ten pamięta moment otępienia, od którego nie czuje się już nic poza detonacjami rozlegającymi się w tętnicach, które rwą bębenki uszne na strzępy; dłonie tracą chwytność, palce czucie, oczy ostrość, a stężenie kwasu mlekowego ścina maź stawową.

Czas przynosi zmiany z każdym dniem i to jest oczywistością. Można mówić o egalitaryzacji postępu. Pieczony kurczak nie jest dzisiaj daniem tylko biskupa czy wojewody, a cukier dodatkiem do herbaty osoby chorej. Zastawa porcelanowa zdobi również wiejskie pokoje. Elenium i tabletki od bólu głowy nie są przywilejem rozhisteryzowanych dam — z jednakową zajadłością aplikują sobie wymienione specyfiki panie mieszkające w aglomeracjach i w bieszczadzkich gajówkach. Zbliżona jest geografia salonów kosmetycznych. Historyk pisał: „Elegantka z XIV wieku ma czasami 300 słoików z blanszem, pudrem, różem, perfumami i pomadami najrozmaitszych rodzajów" Dzisiaj każda kobieta jest elegantką, nie musi być Poppeą. Żadna rewolucja do tej pory nie postawiła na głowie ogólnie obowiązującego od początków cywilizacji kanonu etycznego. Okrzyk Cycerona w senacie rzymskim „O czasy, o obyczaje" miał charakter tylko okazjonalny. Generalnie, podobni są sobie i ludzie i ich zwyczaje, niezależnie od czasów, w których żyją.

KRONIKA KULTURALNA

■ „Studia z historii związków polsko-armeńskich" to kolejny efekt współpracy naukowców UMCS i uniwersytetu w Erewaniu. Kontakty obu uczelni mają już sporą tradycję, a ich dalsze poszerzenie zainicjowała wizyta w Lublinie prof. dr. Lendrusza Churczudiana, kierownika Katedry Historii Armenii.

■ Muzeum Sztuki Złotniczej otwarto w Kazimierzu Dolnym w oparciu o depozyt Jędrzeja Jaworskiego, obywatela kanadyjskiego polskiego pochodzenia. Kolekcja liczy ponad 500 eksponatów; uzupełniono ją dziełami wypożyczonymi z muzeów Lublina i Warszawy oraz od osób prywatnych. Nie ulega wątpliwości, że Kazimierz zyskał kolejną atrakcję.

■ „Wykonaliśmy różne prace konserwatorskie, budowlane i badawczo-projektowe wartości blisko 145 mln zł, czyli o 11 mln zł więcej, niż zakładał tegoroczny plan finansowo-produkcyjny. Udało nam się zakończyć roboty na wielu obiektach" — powiedział w wywiadzie prasowym dyr. Lubelskiego Oddziału PKZ, Jerzy Jarzębowski, podsumowując ubiegłoroczną działalność przedsiębiorstwa. Od siebie dodamy: bardzo dobrze, tylko dlaczego firma powołana do konserwacji zabytków pracuje także na obiektach całkiem współczesnych, jak np. wnętrza CZD czy dach lubelskiej kliniki okulistycznej? Czyżby z braku zabytków wymagających natychmiastowej pomocy?

■ Zespół Pieśni i Tańca „Głusk" i patronujące mu zakłady pracy oraz organizacje remontują klasycystyczny pałac w Krasieninie, aby urządzić w nim dom pracy twórczej. Obiekt został niemal kompletnie zdewastowany przez poprzednich użytkowników: ośrodek zdrowia, lecznicę weterynaryjną, GRN, GS, szkołę i SKR w Elizówce, której udział w dziele niszczenia był największy.

■ Kolejarze chełmscy mają zamiar utworzyć reprezentacyjny zespół pieśni i tańca przy tamtejszym DKK, „który — jak oświadczyła dziennikarzowi „Sztandaru Ludu" dyrektorka owego domu kultury — będzie rozsławiał miasto PKWN w całym kraju i poza jego granicami". Ciekawi nas jednak, w jakich to strojach regionalnych będzie występował ów zespół, któremu życzymy przecież (już teraz) szerokiej publiczności.

■ Andrzej Maciej Łubowski wystawił malarstwo w lubelskim BWA. Autor interesujących obrazów, powstałych po trosze przy pomocy fotografii, urodził się w 1946 r. w Poznaniu, dyplom warszawskiej ASP uzyskał w 1971 r. Mieszka i pracuje w Poznaniu, ma już na swoim koncie sporo cenionych nagród, m. in. II w V Ogólnopolskim Konkursie im. J. Spychalskiego.

■ Piotr Bednarski eksponował portrety dzieci w Dzielnicowym Domu Kultury LSM. Wystawa podobała się szerokiej publiczności i prasie codziennej.

■ W lubelskim salonie „Desy" trwa remont, po którego zakończeniu instytucja zyska kilkadziesiąt metrów kwadratowych dodatkowej powierzchni, co umożliwi jej realizację dawnych zapowiedzi: regularnego organizowania wystaw sztuki współczesnej..

■ Centralna Składnica Muzealna MKiS — dział muzeum w Kozłówce stale wzbogaca się o dzieła sztuki zatrzymane przez celników na granicy. Najwartościowsze trafiają następnie do znanych placówek muzealnych kraju, pośledniejsze leżą spokojnie w magazynach. O czym informujemy małe muzea regionalne, nie cierpiące przecież na nadmiar eksponatów.

■ Wydawnictwo Lubelskie opublikuje w tym roku 70 książek w łącznym nakładzie ok. 1,3 mln egzemplarzy.

■ Swego czasu informowaliśmy, że ubiegłoroczna wystawa małych form rzeźbiarskich z Austrii, czynna w lubelskim BWA, obyła się bez sensacji. Błąd! Owszem, pokaz nie przyniósł sensacji artystycznej, ale stał się okazją wydarzenia innego rodzaju: nie zidentyfikowany do dziś osobnik skradł najładniejszą, jak twierdzą fachowcy, rzeźbę ekspozycji. Tym samym odżyła tradycja sprzed lat ponad 20, kiedy to skradziono obrazy z wystawy ulokowanej na wolnym powietrzu w pobliżu Sądu Wojewódzkiego przez jej autora.

Z. B.

KALEJDOSKOP

W ciąży nie pić!

Badania przeprowadzone ostatnio w Stanach Zjednoczonych po raz pierwszy udokumentowały, że wady, z jakimi rodzą się dzieci matek-alkoholiczek są skutkiem bezpośredniego działania alkoholu na rozwijające się komórki płodu.

Eksperymentom poddano zarodki szczurów, umieszczone poza organizmem matek w roztworze alkoholowym. W wyniku tych badań stwierdzono, że poziom alkoholu w hodowli szczurów był podobny do stężenia alkoholu we krwi alkoholików.

Okazało się, że właśnie działanie alkoholu powoduje objawy określone mianem — płodowy zespół alkoholowy. Dotychczas bowiem nie było jasne, czy pewne deformacje, jakie obserwowano w rozwoju płodów matek — alkoholiczek, były spowodowane działaniem jedynie chemicznych produktów alkoholowych, czy np. należało je jeszcze wiązać ze złym zazwyczaj odżywianiem się kobiet ulegających temu nałogowi, czy też wywołały je inne czynniki.

Prace przeprowadzone przez National Institute of En-vironmental Health Sciences i Georfe Washington University wykazały, że alkohol wywiera wpływ zarówno na wzrost, jak i podział komórek płodu.

Tak więc wieloletnie obserwacje przemawiające za ogromną szkodliwością picia alkoholu przez kobiety ciężarne, dzięki ostatnim badaniom, zostały poparte dowodami naukowymi.

Walka z tuszą

Na frankfurckich Targach zaprezentowano warząchew... z wagą sprężynową umieszczoną w rękojeści. Dzięki temu urządzeniu, gospodyni nabierając z puszki cukier lub kaszę może jednocześnie odczytać ciężar pobranych produktów.

Zapewni to możliwość zachowania odpowiednich proporcji poszczególnych artykułów, ale powinno wpłynąć również na stosowanie bardziej racjonalnego żywienia, z pożytkiem dla zdrowia. Nie wiadomo czy pomoże to jednak poskromić apetyt smakoszom i uchroni ich od nadmiernej tuszy.

Insekty są pożywne?

Robaki, pluskwy, mrówki, żywe karaluchy, musze jaja, pasikoniki i świerszcze są cenionymi przysmakami meksykańskich Indian. Niestety, bariery psychologiczne stoją na przeszkodzie, aby z wysokich wartości odżywczych i kalorycznych tych zwierzątek korzystała również ludność miejska. Jak wynika z pracy opublikowanej przez Meksykański Instytut ds. Żywnościowych w stanie Oaxaca (na południu Meksyku), mrówki należą do wysoko cenionych delicji, a w miejscowości Cualta (stan Moreros w północno-zachodniej części Meksyku) wieśniacy kupują na miejscowym targu niewielkie karaluchy, które żywe zawijają w placki kukurydziane i ze smakiem zjadają.

Rys. Zygmunt Stanisław Pytlik.

Ludność miejską — bombardowaną publikacjami o insektach i insektocydach — paraliżuje sama myśl o zjedzeniu miseczki mrówek, czy kanapki z „kawiorem meksykańskim" czyli niczym innym jak jajami much z rejonu jeziora Texaco. Mieszczuchy nie zaznają również nigdy przyjemności delektowania się krągłymi kształtami upieczonych na smalcu, skropionych pikantnym sosem robaków. Autorka raportu, entymolog meksykański, Julita Ramos podkreśla, iż insekty odznaczają się dużą zawartością protein i aminokwasów, toteż — jej zdaniem — powinny one być wprowadzone do ogólnokrajowego menu.

Kolorowe domy

Stosowane powszechnie technologie malowania domów budowanych z elementów wielkopłytowych są kosztowne i nie zawsze odznaczają się właściwą jakością i trwałością. Obecnie nie ma jednak zbyt wielu możliwości urozmaicenia monotonii nowo budowanych osiedli mieszkaniowych.

Nowe perspektywy w tej dziedzinie stwarza wynalazek jednego z węgierskich instytutów naukowych, polegający na uszlachetnieniu powierzchni betonu oraz jej barwieniu za pomocą techniki plazmowej. Technologia opracowana przez specjalistów węgierskich polega na zainstalowaniu regeneratorów plazmowych nad powierzchnią betonu. Po podłączeniu ich do źródła o niskim napięciu gaz przepływający między dwiema elektrodami z dużą szybkością uzyskuje pod wpływem ciepła konsystencję plazmy. Gorąca plazma przez krótki okres czasu działa na powierzchnię betonu, ogrzewając jej zewnętrzną część i stapiając ją na lawę. Gdy płomień plazmowy gaśnie, w kilka minut później powierzchnia dotychczas bezbarwnego betonu zaczyna lśnić seledynowym blaskiem.

Jeżeli chcemy uzyskać powierzchnię kolorową — przed rozpoczęciem procesu — pokrywa się beton tlenkiem odpowiedniego metalu, który pozwala na uzyskanie koloru: czarnego, brązowego, niebieskiego, zielonego, czy białego. Podczas ogrzewania tlenek wtapia się w beton tworząc glazurową powierzchnię o dużej trwałości i odporności na niskie temperatury, łatwo zmywalną i estetyczną.

ekran i widz

Historia pisana kamerą filmową

PIERWSZY w historii kina teoretyk filmu, współpracownik braci Lumière, nasz rodak Bolesław Matuszewski, pisał w wydanej w 1898 r. w Paryżu książce „Une nouvelle source de l'histoire" („Nowe źródło historii"): *„Tak oto obraz kinematograficzny, w którym tysiąc klisz składa się na jedną scenę, a który powstaje między źródłem światła i bielą ekranu, sprawia, że umarli ożywają i powracają nieobecni".*

Przychodzi mi często na myśl to zdanie, kiedy oglądam idący ostatnio w telewizji radziecko-amerykański serial dokumentalny „Decydujący front", mówiący o zmaganiach Armii Czerwonej z Niemcami w latach II wojny światowej, o wysiłku ludności cywilnej pracującej na zapleczu frontów, o gehennie tej części ludności, która znalazła się na terenach okupowanych przez wojska Hitlera. Wypadki wojenne tamtych lat utrwalone przez wojskowych operatorów filmowych na celuloidowej taśmie, jawią się przed naszymi oczyma jak żywe.

Dwie ekipy realizatorów, radziecka i amerykańska, pracujące pod naczelnym kierownictwem znakomitego radzieckiego dokumentalisty wojennego Romana Karmena, który przed laty przeszedł z kamerą szlak bojowy wiodący od Moskwy ku Berlinowi, przekopały się przez setki tysięcy metrów filmowych dokumentów, często jeszcze dotąd nigdy nie prezentowanych. Kilkunastoodcinkowy serial, dzięki swej olbrzymiej pojemności, stworzył możliwość wykorzystania także materiałów może nieraz „marginesowych" z czysto faktograficznego punktu widzenia, ale za to jakże wyraziście rysujących ówczesne nastroje, atmosferę walki, codzienność frontowego i pozafrontowego życia. Widać także tutaj doskonale trud operatorów filmowych, ich poświęcenie i odwagę. Tę odwagę, dzięki której szli niejednokrotnie w pierwszej linii walki wraz z atakującymi żołnierzami. Z historycznego punktu widzenia, na przykład zdjęcia kręcone przez szczeliny atakujących czołgów, w pierwszej fazie bitwy stalingradzkiej, zdjęcia często niewyraźne, chybotliwe, rozmazane, mają znaczenie niewielkie; z ludzkiego punktu widzenia — posiadają walor ogromny.

Kim bardziej byli ci anonimowi często operatorzy kronik wojennych: dokumentalistami-filmowcami zapisującymi historię czy bohaterskimi żołnierzami walczącymi przy pomocy kamery? Żołnierz idący do ataku mógł zalec za wypalonym czołgiem, ukryć się przed lawiną nieprzyjacielskiego ognia w leju armatnim, skryć głowę w zagłębieniu gruntu; operator filmowy musiał zawsze kierować oko swojej kamery na otwartą przestrzeń, świadomie wystawiać się na ogień przeciwnika.

Do historii przeszedł wojskowy operator, który sfilmował... własną śmierć! Nazywał się Włodzimierz Suszczyński, był Rosjaninem — prawdopodobnie polskiego pochodzenia — i w lutym 1945 r. znalazł się wraz z innymi żołnierzami Armii Czerwonej na ulicach Wrocławia, gdzie toczyły się ciężkie walki. Filmował właśnie natarcie drużyny szturmowej na nasyp kolejowy. *„W pewnym momencie* — pisze Stanisław Ozimek w książce „Film polski w wojennej potrzebie" — *zaplanowana przez operatora pełna panorama zostaje przerwana, obraz zaczyna tańczyć, kamera gwałtownie zmienia kierunek, obiektyw chwyta cień padającego człowieka, a następnie gwałtownym, choć nieskoordynowanym ruchem wznosi się ku górze. Po odniesieniu przez operatora rany, mechanizm kamery jeszcze pracował, kamera filmowała cień padającego już bez świadomości człowieka".* Na innym zachodnim teatrze wojny, w czasie ataku lotniczego na okręt Polskiej Marynarki Wojennej, bosman Paweł Płonka trwał z kamerą filmową przy oku, pozostając na pokładzie aż do chwili, gdy został ciężko ranny przez serię z niemieckiego samolotu. Jeszcze inny nasz rodak, Kazimierz Karasiewicz, będący operatorem filmowym w lotnictwie amerykańskim, nie zwolnił spustu kamery nawet w momencie, gdy nadlatujący niemiecki bombowiec zderzył się z jego samolotem.

Boje toczone przez Armię Czerwoną filmowało stu pięćdziesięciu operatorów radzieckich. Tylko co piąty z nich doczekał zakończenia działań wojennych; w czasie walk zginęło trzydziestu operatorów. Wysiłek radzieckich dokumentalistów wojennych był ogromny, ale też pozostawili oni po sobie imponujący dorobek: trzy i pół miliona metrów taśmy! Z tego materiału zmontowano następnie prawie 500 wydań kroniki frontowej, 67 krótkich filmów dokumentalnych i 37 dokumentalnych filmów pełnometrażowych. Już w 1942 r. powstał dokument „Rozgromienie wojsk hitlerowskich pod Moskwą", w tymże samym roku — „Leningrad w walce", jednym z jego współautorów był Roman Karmen. W 1943 r. ogromne wrażenie robiły na widzach „Stalingrad" L. Warłamowa, „Bitwa pod Orłem" R. Gikowa i L. Stepanowa, w 1944 r. — „Zwycięstwo na prawobrzeżnej Ukrainie" A. Dowżenki i J. Sołncewej i wiele, wiele innych. Aż wreszcie pojawiły się filmy dokumentalne pokazujące żołnierzy radzieckich i polskich walczących na ulicach Berlina, i pierwszych żołnierzy, którzy wdarli się na szczyt Bramy Brandenburskiej.

Burt Lancaster, pełniący w „Decydującym froncie" rolę amerykańskiego prezentera ukazywanych na ekranie wydarzeń, mówi z wyraźnym przejęciem o „nieznanej wojnie" na Wschodzie. Raczej: znanej, tylko dotychczas bardzo pobieżnie przez Amerykanów. Dla widza polskiego jest to wojna aż nadto dobrze znana.

M. D.

Kamena str. 14

POCZTA literacka

W. K. Tomaszów Lubelski. Za dużo w tych wierszach łatwej pejzażowości. Rozumiem przywiązanie do ziemi rodzinnej, ale niechby się ono nie wyrażało środkami poetycko anachronicznymi. Odpowie Pan, że nie ma potrzeby urządzać pogoni za formalnymi nowalijkami, szczególnie w tym temacie, ponieważ wierzba, ponieważ zorana skiba są wciąż te same. Złudzenie. Przypomnę powiedzenie Przybosia, który pochodząc ze wsi sam wiejskiemu tematowi w swojej poezji poświęcił dużo miejsca: „To nie prawda, że świat istnieje, świat się ciągle staje". A więc nieustannie musimy dodawać nowe elementy do tego, co już wnieśliśmy w zakres swojej wiedzy. Ponieważ ta wiedza jest zawsze niekompletna.

Z. T. Olsztyn. Stanowisko człowieka wobec otaczającego go świata. Ten temat podaje Pan jako główną oś swoich utworów. Ależ to jest założenie wszelkiej twórczości, nie tylko pisarskiej, tak więc odkrycia Pan nie uczynił. Ważna jest realizacja. A z nią w tych tekstach nie jest najlepiej. Porusza się Pan w sferze wyobraźni dość skonwencjonalizowanej, operuje Pan środkami dość zużytymi, a tylko wiara (zresztą uzasadniona) w czystość intencji pozwala Panu poprzestać na przebyciu połowy drogi. Założenie nie wystarcza, trzeba jeszcze umieć wyciągnąć zeń przekonujące konsekwencje artystyczne. Myślę, że trochę brakuje Panu oczytania. I stąd chyba wynika praktyczny wniosek do dalszej pracy.

Halina T-ska Łomża. Nie mogę wskazać, w którym kierunku należy iść dalej, ponieważ zawsze jest to sprawa osobowości, a więc i osobista autora. Mogę tylko przekazać swoje wrażenie. Otóż wydaje mi się, że pozostaje Pani poza swoimi wierszami. Niewiele one mówią o tym, kto je napisał. Więcej siebie — to właśnie miałbym do przekazania jako czytelnik tych pierwszych (chyba się trafnie domyślam) Pani utworów.

Dariusz D. — Katowice. „Gdzie celtyckich harf dźwięki / miękki epos dźwiękami piosenki... miękko nurza się w puch włosów / wędruje garbkiem nosa..." Adresatka tych pięknych rekwizytów ma równie piękne imię — Judyta. Tyle trudu włożonego w stworzenie krainy pięknej naiwności naraża Pan na druk w „Kamenie", gdzie roi się od szyderców i zmanierowanych emokierów! Czy nie lepiej przeżyć tę piękną i czystą przygodę we dwoje i tylko we dwoje?

Józef B. — Wyszków. Z fraszkami bywa przeważnie tak, że gdy mdłe i nijakie, obracają się przeciw ich autorowi. Tę uwagę proszę odnieść do siebie — Pańskie fraszki nie zawierają tej niezbędnej dawki jadu, która by uzasadniała ich druk. Ich nośność osłabia znaczne rozgadanie. We fraszce jak w żadnej innej formie trzeba szanować słowo. A fraszka składająca się z czterowiersza zawiera słów dużo, czytelnik ma więc prawo oczekiwać w niej sporej dawki ciąnku. Toteż najlepszy wydaje się dwuwiersz: „Niektórzy mniemają, że krytyka to roznoszenie słabych na językach". Proszę to traktować jako fraszkowy debiut w „Kamenie" i za jakiś czas podesłać coś nowego.

Edmund P. — Lublin. W tych kilku opowiadaniach widać etap tzw. wprawek do twórczości prozatorskiej. Na razie — pozostajemy w światku nieudaczników — poetów, aktorów, malarzy, dziewczyn w ciąży niechcianej. Można i tak, boć przecież wszystko jest tematem, ale trzeba jeszcze odkryć coś, co zmusi czytelnika do doczytania rzeczy do końca, a nie do połowy.

Norbert P. — Warszawa. Wprawdzie z tych tekstów nie skorzystamy, lecz dojrzałość zdania i odpowiedzialności za każde prozatorskie słowo skłania do zachęty, co brzmi banalnie, ale coś tam w końcu znaczy.

Andrzej Z. Całe opowiadanie ma udowodnić, że żyjemy na planecie owadów, a nie ludzi. Zgadzam się w zupełności, podobnie jak z tymi, którzy twierdzą np., że Amerykanie żyją na ziemi Indian i Majów. Ale nie zgadzam się ze zdaniem bohatera, gdy stwierdza: Każda ironia jest następstwem głupoty. To odbiera podstawę egzystencji m.in. „Poczcie literackiej" oraz kilku zupełnie niegłupim ironistom w literaturze, polityce, etc. Co już wystarczy, aby zrezygnować z druku tego opowiadania.

Maria S. — Kraków. Pracowicie przymierza się Pani do takich stereotypów jak matka, ojczyzna, bohaterowie wojen, jesień, smutek, opadłe liście. Ból, płacz, nienawiść. Niobe, mimozy — to słowa, wobec których wypada mieć trochę szacunku, inaczej mszcza się okrutnie okrutnym banałem. Zatrzymujemy „Metraż pustki" i „Tylko patrzeć..." No właśnie: — bo proste, szczere, przeżyte i ...krótkie.

Anna T. — Wałbrzych, Janusz S. — Tomasz S. Lublin. Nie skorzystamy.

KRZYŻÓWKA
(nr 2)

Poziomo: 3. przybywa w listopadzie na białym koniu, 7. drżące drzewo, 9. dwadzieścia jeden, 11. tytułowy bohater trylogii B. Królikowskiego, 13. wydzielanie łez, 16. pocisk lotniczy, 14. kakaowy wyrób cukierniczy, 18. oblicze, 19. koło zębate, 20. poeta polski, tłumacz Majakowskiego, 21. dramat Ibsena, 22. miejsce walki bokserskiej, 24. polskie czasopismo katolickie, 26. opera Verdiego, 27. znana piosenkarka, która debiutowała jako studentka lubelska, 28. zarozumiałość, 29. człowiek w roczniku statystycznym, 31. plan finansowy jakiegoś przedsięwzięcia, 33. druga rzeka Afryki, 34. stolica Gedymina, 35. autor „Wspomnień niebieskiego mundurka", 36. nowela Prusa, 37. prawdziwa krytyk się nie boi, 38. świt.

Pionowo: 1. maszyna liczbowa, 2. drąg metalowy, 3. sok owocowy przygotowany do dalszego przetwarzania, 4. wspólnie z żoną pisuje książki podróżnicze, 6. odwalona przez pług bryła ziemi, 7. ptak z piosenki Szczepanika, 8. rosyjska zupa rybna, 10. archeologiczne znalezisko dawnych monet, 15. poeta nazywany lirnikiem mazowieckim, 16. denuncjacja, 18. przybrzeżna wyspa na Bałtyku, która była miejscem kultu Światowida, 19. worek na pieniądze, 20 susz z trawy, 23. krytyk teatralny, współredaktor „Teatru", 25. poeta Oświecenia, biskup warmiński, 28. osiemdziesięcio kilogramowa świnia, 29. mieszka w Chanty Mansyjskim Okręgu Narodowościowym, 30 port nad ujściem rzeki Duero w Portugalii, 31. telerankowy budzik, 32. wynik dodawania.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się pod adresem redakcji /skr. poczt. 231 20—950 Lublin/.

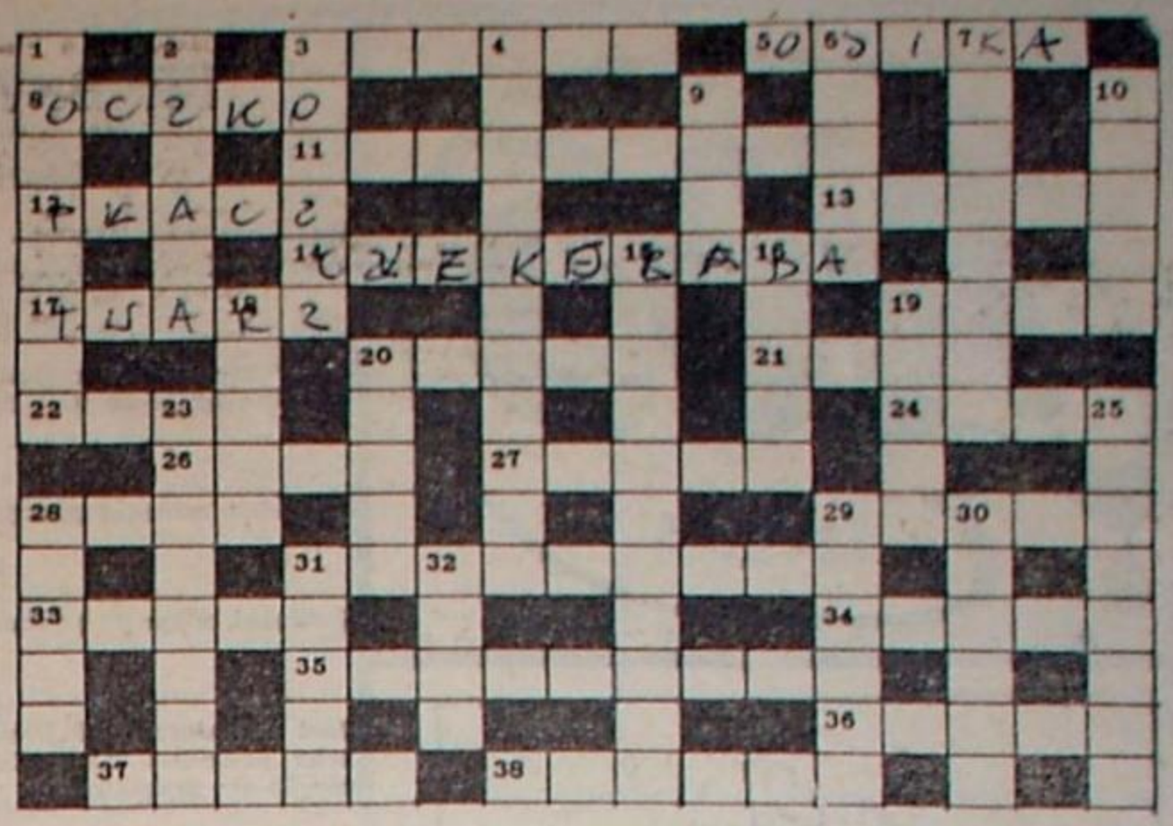

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

W związku z chorobą autora krzyżówek nie było krzyżówki nr 1, dlatego też dziś podajemy rozwiązanie z nru 25:

Pionowo: Mombasa, Osterwa, apasz, Kowno, Atena, okoń, aura, podwiki, Elitis, Antoni, Zan, Rea, kronikarz, sum, set, preria, igława, Kriszna, ryba, Gero, akant, lemur, domek, alkazar, kształt.

Pionowo: majonez, broń, Santos, Apo, osa, sztuka, Etna, Arkadia, Konin, autor, dwuwiersz, piernik, intryga, lazur, Negew, spirala, melba, saper, taboret, afenda, indeks, Akra, gust, tor, lex.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 25 bony książkowe otrzymali: Henryk Czulkowski 20—313 Lublin, Łęczyńska 39/92, Jerzy Mieciński 95—200 Pabianice, Żymierskiego 16/5, Stanisława Koronowska 44—325 Jastrzębie, Opolska 29/38, Antoni Ludwik Adolf 38—421 Kamborna woj. Krosno.

Listy do kameny

„LECĄ KARTKI"

W numerze 18 „Kameny" z ub. roku ukazała się krytyczna notatka pt. „Lecą kartki", podpisana przez panią Irenę Skonecką. Kartki te lecą jakoby z wykonanej przez LZGraf. książki, której tytuł i autora korespondentka przemilcza. P. Skonecką tak zafascynowało opracowanie graficzne, że zapomniała o podaniu tych drobiazgów, których brak uniemożliwia nam sprawdzenie zasadności zarzutu. Jedyną wskazówką w tej zagadce jest nazwisko grafika — J. Kostki. Niestety, jest to dla nas wskazówka niewiele mówiąca, ponieważ drukujemy wiele książek, których oprawę graficzną przygotowuje J. Kostka. Z Wydawnictwem Lubelskim współpracujemy od bardzo dawna i nie spotkaliśmy się dotąd z ich strony z zarzutem brakoróbstwa, nad którym tak ubolewa autorka notatki. Pomyłki nie zdarzają się tylko tym, którzy nic nie robią. Proces oprawy książek jest zmechanizowany i kartki „zszywa" maszyna, która mimo swej precyzji jednak czasami się myli. Jeszcze nikt nie wymyślił takiej maszyny poligraficznej, która dawałaby 100 proc. produkcji tylko dobrej jakości. Nie mamy także możliwości sprawdzenia wszystkich egz. książek, opuszczających drukarnię (ok. 500 tys. egz. miesięcznie). Z tego też powodu w poligrafii funkcjonuje system refundacji braków: książkę z defektem można wymienić w księgarni lub otrzymać zwrot równowartości w gotówce.

Uprzejmie prosimy p. Skonecką o przesłanie nam wybrakowanego egzemplarza tajemniczej książki. Postaramy się naprawić go, lub wymienimy na inny.

Ze swej strony cieszymy się, że problem szaty graficznej książek Wyd. Lubelskiego (szczególnie autorstwo J. Kostki) znalazł żarliwego obrońcę w osobie p. Skoneckiej. Nie zgadzamy się natomiast ze znajomymi p. Ireny, którzy mają złe zdanie o poziomie druku lubelskich publikacji: nasi znajomi są wręcz przeciwnego zdania.

Lubelskie Zakłady Graficzne
im. PKWN
Z-ca dyr. ds. produkcji
mgr inż. Tadeusz Filipek

Grunt to właśni znajomi! (Red.)

„CZEKAJĄC NA ZŁOTY WĘGIEL"

W związku z artykułem, jaki ukazał się w waszym piśmie z dnia 9 grudnia 1979 r. — „Czekając na złoty węgiel" — redaktora Bronisława Kowalskiego, uprzejmie informujemy, że Naczelnym Dyrektorem Kombinatu Budownictwa Górniczego „Wschód" jest mgr inż. Włodzimierz Mięsowicz. (...)

Natomiast Naczelnym Dyrektorem Kopalń Lubelskiego Zagłębia Węglowego w budowie jest mgr in. Stanisław Wolf.

Kopalnie Lubelskiego Zagłębia Węglowego w budowie (KLZW) są inwestorem budowanych kopalń, a z chwilą ich wybudowania przez Kombinat Budownictwa Górniczego „Wschód" — zostaną przekazane do eksploatacji inwestorowi.

Stąd wynika, że są to przedsiębiorstwa współpracujące ze sobą.

Kombinat
Budownictwa Górniczego
„Wschód"
Kier. Wydz.
Organizacyjno-Prawnego
dypl. ekon. St. Rajczakowski

„NAMIOT"

Odpowiadając na artykuł red. Bronisława Kowalskiego „Namiot" opublikowany w „Kamenie" z dnia 25.XI.79 r. w sprawie rodziny ob. Janiny Buczyńskiej z Sernik, po szczegółowym przeanalizowaniu całości stwierdzono, że sprawę pomocy dla ob. Buczyńskiej potraktowano wyjątkowo i została ona załatwiona przed podjęciem tematu przez red. Kowalskiego. (...)

Rodzina ob. Janiny Buczyńskiej składa się łącznie z 6 osób, w tym 4 dzieci i mąż. W/w od półtora roku jest zatrudniona w Zakładach Garbarskich „Lugar" w Lubartowie w charakterze sprzątaczki, natomiast mąż nie ma stałego miejsca zatrudnienia. Rodzina ta mieszkała w gminie Serniki w gospodarstwie rolnym ojca. W tym mieszkalny uległ częściowemu zniszczeniu w wyniku podpalenia przez dziecko ob. Buczyńskiej, przy jej zresztą obecności w domu. Ojciec w/w otrzymał już decyzję Naczelnika Gminy w Sernikach o przekazaniu swojego podupadłego gospodarstwa rolnego Państwu w zamian za emeryturę. Po pożarze ojciec pozostał nadal w dotychczasowym budynku mieszkalnym, natomiast córka, ob. Janina Buczyńska, pożyczyła od Zakładów Garbarskich namiot, i ustawiła go na podwórku. W związku z pożarem Naczelnik Gminy Serniki proponował jej pomieszczenie zastępcze oraz pomoc w podnajęciu mieszkania na terenie wsi, jednak nie okazała ona żadnego zainteresowania tą formą pomocy (przewidzianą art. 44 prawa lokalowego) i kategorycznie żądała mieszkania spółdzielczego w Lubartowie poza kolejnością. Należy zaznaczyć, że ob. Buczyńska była zarejestrowana w Spółdzielni Mieszkaniowej w Lubartowie dopiero od 18.VI.1979 r. z wkładem własnym w wysokości tylko 6000 zł.

W toku rozpatrywania sprawy w Urzędzie Wojewódzkim ob. Buczyńska potwierdziła odmowę przyjęcia proponowanych ze strony Naczelnika Gminy pomieszczeń zastępczych i poinformowała, że gdyby otrzymała mieszkanie spółdzielcze w 1980 r. to wówczas Zakłady Garbarskie zapewnią jej miejsce w hotelu robotniczym. Takie zapewnienie indywidualne (ze względu na dobro 4 dzieci) otrzymała ona w dniu 26.X.1979 r. Na powtórną prośbę ob. Buczyńskiej odnośnego pisma przesłano do Zakładów Garbarskich.

Sprawa ta została więc potraktowana nadzwyczaj wyjątkowo, ponieważ przyśpieszenie przydziału mieszkania spółdzielczego może otrzymać tylko członek (ale kandydat) z kilkuletnim stażem. Okres wyczekiwania na mieszkanie spółdzielcze w naszym województwie sięga 8—10 lat.

Podejmowanie przez waszą redakcję trudnych problemów społecznych, jakimi są sprawy mieszkaniowe jest słuszne. Utrzymana natomiast w artykule i w czasie rozmowy z pracownikami Urzędu Wojewódzkiego atmosfera niezdrowej sensacji przynosi, naszym zdaniem, złe odczucie społeczne, sugerując błędne przekonanie o skuteczności tupetu i szantażu, co w sprawach mieszkaniowych szczególnie winno być eliminowane.

mgr Mieczysław Martyn

Dyrektor Wydziału
Gospodarki Terenowej
i Ochrony Środowiska
Urzędu Wojewódzkiego
w Lublinie

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich
Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Bechczyc-Rudnicka, Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) Bronisław Kowalski, Henryk Pajak (kierownik działu literackiego) Maciej Podgórski, Waldemar Stepień (fotoreporter) Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach:
— do 25 listopada na I kwartał i I półrocze roku następnego i na cały rok następny,
— do 10 marca na II kwartał roku bieżącego,
— do 10 czerwca na III kwartał i II półrocze,
— do 10 września na IV kwartał.

Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje, organizacje i wszelkiego rodzaju zakłady pracy zamawiają prenumeratę w miejscowych oddziałach RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH" w miejscowościach zaś w których nie ma Oddziałów RSW — w urzędach pocztowych.

Czytelnicy indywidualni opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych i u doręczycieli.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa nr 28 00-958 Warszawa konto PKO nr 1531-71.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14—16.

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4.

Nr indeksu 35231

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat redaktor naczelny 255-93, dział publicystyki i literacki 275-35.
Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Rys. Józef Jurczyszyn

FRASZKI

Bogusław Wieczorek

Dygnitarz

Gdy z fotela już się zwleka,
ma podejście do człowieka.

Eksperyment w teatrze

Któż eksperyment taki pochwali:
ani jednego widza na sali.

Rozrywka

Dawniej do kina
dzisiaj na „klina".

Lipa

Można nawet lipę
nazwać prototypem.

Przeszkoda

Trudno być na przedzie,
kiedy się prym wiedzie.

Józef Witkowski

Cicha woda

Nawet na dnie
brzegi rwie

Człowiek bez ikry

To chyba
grubsza ryba

Jerzy Leszczyński

Szczere uczucie

Para kochająca się szczerze —
i ślub, i rozwód z miłości bierze.

Bigamia

Dwutorowy
pociąg pleiowy

Ciasne głowy

Tak ciasne głowy mają niektórzy,
że rozum kurzy dla nich za duży.

DROBNYM ŚRUTEM

Marian Karczmarczyk

Właściwe podejście do człowieka nie powinno się odbywać jedynie przy pomocy nóg.

●

Szaty nie zdobią człowieka. Ale nie upoważnia to do tego, by je na nim drzeć.

●

Niejeden zmienia skórę, by nie chodzić nago.

●

Pobłażał, więc go pobłażano.

●

Jest miłosierny: odejmuje sobie od ust ostatni kęs, żeby podzielić się z bliźnimi. Ostatni kęs, którego nie da się przełknąć.

●

Zdarza się uroczysta zmiana... poglądów.

●

Czasem dlatego okręt tonie, bo kapitan nie chce go opuścić.

●

Niepotrzebni czasem odchodzą, ale pozostają ich potrzeby.

●

Jeśli jesteś szarakiem a dają ci lwią część — uważaj. Bo może czynią to dlatego, byś się udławił

ZMYSŁY

Roman Gorzelski

Ta bluzka kosztowała...
właśnie ile kosztowała ta bluzka
i ta apaszka
i te korale
toczone z drewienek
pomalowane na czerwono
— pachniesz wodą kolońską
którą dałem ci z okazji dnia kobiet
chętnie bym ci dał te pieniądze
których ci dać nie zdążyłem
i ten pierścionek który jest
tam na tej wystawie
dwa razy trzy razy tyle bym ci dał
to tak mało warte jest w tej chwili
tylko nie odchodź ode mnie
— a może już teraz mam
pomieszanie
zmysłów

Rys. Jan Surma

Rys. Andrzej Stok

Z ŻYCIA WZIĘTE

Janusz Sipkowski

● Rozszerzył własne horyzonty: tak często zmieniał punkt widzenia, aż doszedł do płaszczyzny.

● Jest biegły w matematyce: potrafi natychmiast wyliczyć dla siebie procent od każdej różnicy zdań.

● Z opresji na naradach wychodzi zawsze obronną ręką, którą podnosi zgłaszając wniosek o zamknięcie dyskusji.

Rys. Kazimierz Borowski

Robaczywe myśli

Jan Górczyński

W biedzie nie można opuścić tylko samego siebie.

●

Na nic świecenie dobrym przykładem, gdy brak chętnych, aby z tego skorzystali.

●

Można dużo wiedzieć o znajomych, a w ogóle nie znać siebie.

●

Kto dużo śpi, ten niczego się nie dochrapie.

●

Jest bardzo elokwentny, ale jąka się w myśleniu.

●

Są tacy, którzy nawet do otwartych drzwi używają wytrycha.

●

Solą w oku bywają i słodcy ludzie.